

TYGODNIK
SPOŁECZNO-OŚWIATOWY

ROK LXXII ● NR 30 ● 23 VII 1989 r.

CENA 80 zł



GŁOS

NAUCZYCIELSKI

Ponadto w numerze:

- PIERWSZE KROKI
W SAMODZIELNOŚĆ
— rozstrzygnięcie konkursu
- OBCOWANIE Z PRZESZŁOŚCIĄ
w Izbie Tradycji
- GDZIE ŁATWIEJ O OPTYMIZM
na górze, czy na dole
- „LITERACKI GŁOS
NAUCZYCIELSKI”

INDEKS-35923

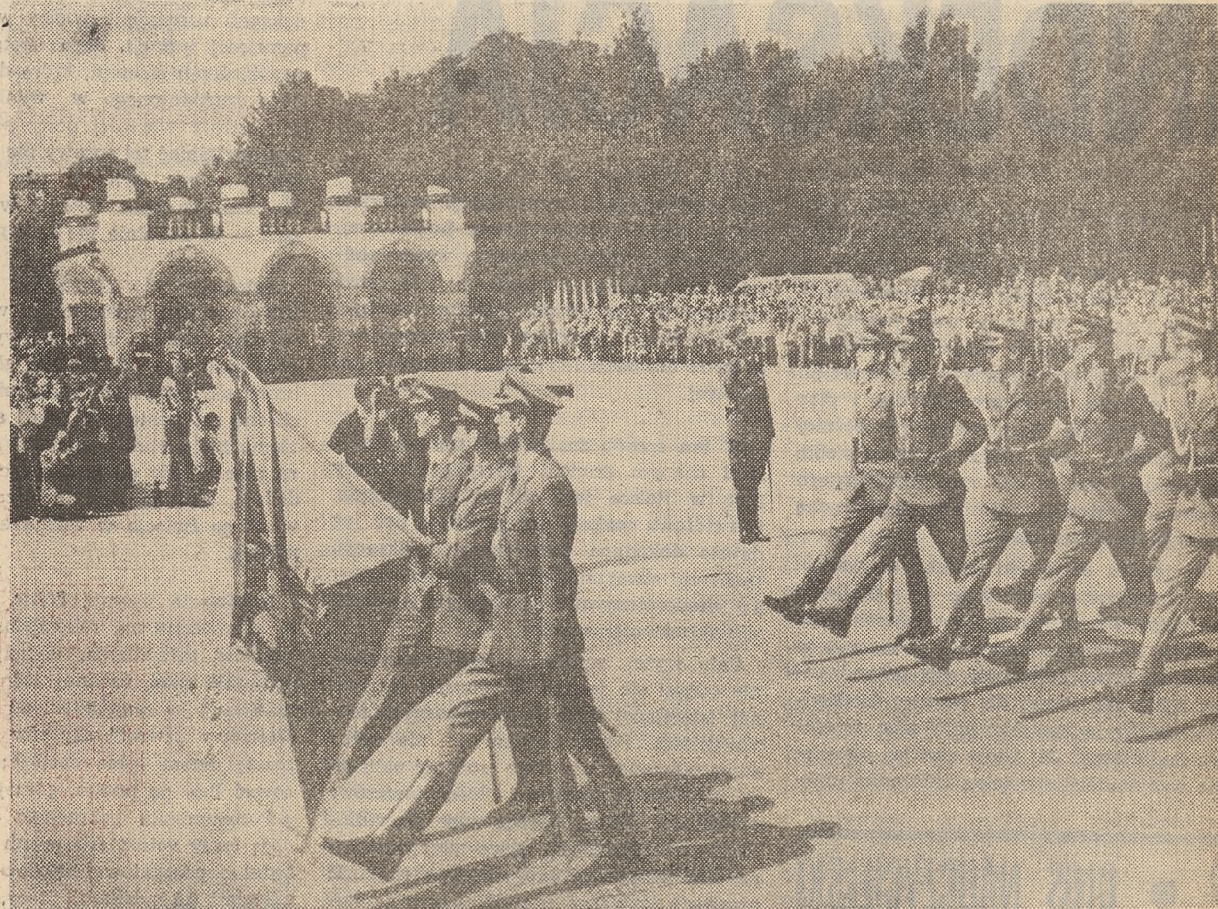
PL ISSN-0017-1263



Wieniec od Narodu na Grobie Nieznanego Żołnierza, uroczysta odprawa wart, festyny, zabawy, słowem — nastrój radosnego święta. To obraz 22 Lipca, z którym się zżyliśmy. Starszym kojarzy się on jeszcze ze zbliżającym się ze wschodu hukiem dział nadchodzącego frontu, z powitaniem nie widzianego od pięciu lat polskiego wojska, które niosło wolność.

Perspektywa historyczna zmienia obraz, staje się on nie tak jednoznaczny, jak wmawiano nam przez dziesięciolecia. Nie zmienia to podstawowego faktu: zaczęła się wówczas — w Lublinie — III Rzeczpospolita. Zupełnie tak samo, jak trzydzieści kilka lat wcześniej — w listopadzie — wymarsz Pierwszej Kadrowej stał się początkiem II Rzeczpospolitej. Dzięki ogniwom tego łańcucha zdarzeń, składającego się na trwanie w środku Europy naszej Ojczyzny, Polski — możemy dziś IV Rzeczpospolitą urządzać na miarę naszych marzeń i aspiracji.

Fot. CAF



CO Z ZALICZKA?

Odpowiadając najkrócej na to pytanie trzeba powiedzieć: nie. Zaliczki nie wypłacano.

Od połowy czerwca przekazując informację o waloryzacji plac w oświacie, zwracaliśmy także szczególną uwagę na możliwość wypłacenia zaliczki na poczet zwaloryzowanego wynagrodzenia.

Tę „chwilkówkę” mógł otrzymać zainteresowany na życzenie w wysokości 25 proc. wynagrodzenia należnego za lipiec. Mógł, ale czy otrzymał?

Indagowani przeze mnie na tę okoliczność czytelnicy albo w ogóle nie wiedzieli, że taka ewentualność istnieje, albo nie przywiązywali wagi do formuły „na życzenie” i nie występowali o zaliczkę, gdyż myśleli, że jeżeli otrzymają pieniądze to wszyscy, tak jak to zwykle bywa. W związku z tym, że strony zainteresowanych nie było żadnej presji na administrację i w konsekwencji nikt z moich rozmówców zaliczki nie otrzymał.

Zaś dla administracji jest to wygodna sytuacja, po obojętnej się bez kłopotów. Ponadto, na co chcą zwrócić szczególną uwagę, zarówno inspektor jak księgowy (z województwa zachodniego), z którymi rozmawiałam skwitowali „ten pomysł” z zaliczką pytaniem: „a na jakiej podstawie formalnej mogą przekazać zaliczkę, dla mnie dobre chęci ministra czy Zarządu Głównego nie znaczą nic — ja muszę mieć w ręku przepis. A takiego nie ma”.

Aby nie mieć już żadnych wątpliwości w tej materii, w środę, 12 lipca przeprowadziłam błyskawiczną sondę telefoniczną. Rozmawiałam z kilkunastoma okręgami. I co się okazało? Poza Krakowem, a ściślej Nową Hutą — nigdzie zaliczek nie wypłacano. Wszyscy czekają teraz na podpisanie uchwały placówek. W kilku okręgach mówiono o ewentualnej zaliczce w sierpniu. Ale to także nic pewnego.

Konkludując, można rzec: wiele hałasu o „nie”. A szkoda bo te kilkanaście tysięcy przydałoby się na wakacje, ale tak to jest kłedy wiedzy się w enigmatyczne sformułowanie: „przewidziana możliwość”, „istnieją warunki” itp. Tam, gdzie w grę wchodzi pieniądze, sformułowania muszą być konkretne!

TERESA KONARSKA

W „Głosie” kilkakrotnie już informowaliśmy o pracach związkowo-resortowego zespołu do spraw waloryzacji plac pracowników oświaty i wychowania. Dziś zamieszczamy protokół wspólnych ustaleń przedstawicieli Zarządu Głównego ZNP, Krajowej Sekcji Oświaty i Wychowania NSZZ „Solidarność” i ministra Edukacji Narodowej.

Ustalenia dotyczące nowych stawek wynagrodzeń nauczycieli oraz pracowników oświaty nie będących nauczycielami, zostaną podpisane przez zainteresowanych ministrów w najbliższych dniach bieżącego miesiąca i przekazane do realizacji.

Oczywiście, nowe stawki uposażenia postaramy się jak najszybciej opublikować na naszych łamach.

PROTOKÓŁ

ustaleń w sprawie wprowadzenia zaliczkowej waloryzacji plac pracowników oświaty w II półroczu 1989 r., przyjętych w dniu 12 07 1989 r. przez przedstawicieli Zarządu Głównego Związku Nauczycielstwa Polskiego, Krajowej Sekcji Oświaty i Wychowania NSZZ „Solidarność” i Ministerstwa Edukacji Narodowej.

1. Strony związkowe wyraziły warunkową zgodę na przeprowadzenie zaliczkowej waloryzacji plac pracowników oświaty od 1 lipca 1989 r., w oparciu o środki przyznane na ten cel uchwałą Nr 93/89 Rady Ministrów z dnia 22 czerwca 1989 r. w wysokości 161,5 mld zł. Powyższa kwota stanowi zaliczkową wielkość środków; łączna wielkość których ustalona zostanie po ogłoszeniu przez GUS przeciętnego wynagrodzenia w sferze produkcji materialnej oraz w sferze budżetowej w I półroczu 1989 r. Uwzględniając również powinna realnie i przewidywane skutki wzrostu wynagrodzeń w sferze produkcji materialnej w II półroczu, z zachowaniem zasad i intencji wynikających z art. 4 ust. 2 ustawy z dnia 31 stycznia 1989 r. o kształtowaniu środków na wynagrodzenia w sferze budżetowej (Dz. U. nr 4, poz. 24).

Strony związkowe uznają, że ustawa z dnia 31 stycznia 1989 r. o kształtowaniu środków na wynagrodzenia w sferze budżetowej nie poprawia w stopniu zadowalającym sytuacji materialnej pracowników oświaty i wychowania.

2. Strony związkowe wyraziły zaniepokojenie nowymi uregulowaniami prawnymi wynikającymi z ustawy z dnia 30 maja 1989 r. o zmianie upoważnień do wydawania aktów wykonawczych (Dz. U. nr 35, poz. 192), zgodnie z którymi zasady wynagradzania pracowników o-

światy nie będących nauczycielami ustala w drodze zarządzenia minister Pracy i Polityki Socjalnej. O powyższym stanowisku zostaną poinformowani minister Edukacji Narodowej oraz minister Pracy i Polityki Socjalnej.

Uzgodniono jednak, że przy obecnym stanie prawnym, fakt ten nie może stanowić przeszkody w dalszych negocjacjach. Jednakże postuluje się w możliwie najbliższym czasie zmianę wyżej wymienionej ustawy. Zdaniem stron związkowych — zasady wynagradzania wszystkich pracowników oświaty winien ustalać minister Edukacji Narodowej.

3. W związku z rozporządzeniem Rady Ministrów z dnia, 30 czerwca 1989 r. W sprawie zamrożenia cen oraz zakazu podwyższania wynagrodzeń za pracę w lipcu 1989 r. (Dz. U. nr 41, poz. 244) uzgodniono, że zaliczkowa waloryzacja plac pracowników oświaty przeprowadzona zostanie w pierwszych dniach sierpnia z wyrównaniem od 1 lipca br.

W placówkach, w których organizacja roku szkolnego przewiduje ferie letnie możliwe będzie dokonanie w pierwszych dniach sierpnia br. zaliczkowych wypłat na poczet tej waloryzacji — w wysokości 25 proc. dotychczasowego wynagrodzenia przysługującego za miesiąc lipiec i sierpień.

4. Strony ustaliły, że do końca 1989 r. nie będą dokonywane generalne zmiany dotychczasowych systemów wynagradzania nauczycieli i pracowników szkół nie będących nauczycielami.

5. Przyjęto podział środków na podwyżkę wynagrodzeń pracowników oświaty w następującej relacji:

● nauczyciele — średnio 33 tys. zł na jednego pełnozatrudnionego i niepełnozatrudnionego w przeliczeniu na pełne etaty.

● pracownicy szkół nie będący nauczycielami — średnio 22 tys. zł na jednego pełnozatrudnionego i niepełnozatrudnionego w przeliczeniu na pełne etaty.

6. Uzgodniono, że przy zaliczkowej waloryzacji plac od 1 lipca br. podwyższeniu ulegną głównie wynagrodzenia zasadnicze i dodatki funkcyjne. Wysokość innych składników wynagro-

dzeń oraz zgłoszone nowe postulaty i wnioski zostaną rozpatrzone przy kolejnych waloryzacjach plac.

7. Uzgodniono, że stosownie do ustaleń „okrągłego stołu”, przy waloryzacji plac decyzje w sprawie, czy w placówce będzie stosowane różnicowanie wynagrodzeń nauczycieli w zależności od osiąganych wyników pracy, podejmowane będą przez dyrektora placówki zgodnie z uchwałą rady pedagogicznej podjętą w tajnym głosowaniu.

8. Strony związkowe, mając na uwadze zwiększenie funkcji motywacyjnej plac, postulują wydanie zalecenia odnośnie obligatoryjnego tworzenia funduszu premiowego dla pracowników szkół nie będących nauczycielami.

9. Przedstawiciele związków zawodowych warunkowo akceptują (zgodnie z zapisem pkt 1 niniejszego protokołu) projekty przedstawionych przez Ministerstwo Edukacji Narodowej aktów prawnych regulujących zaliczkową waloryzację plac w oświacie:

● zarządzenie ministra Edukacji Narodowej w sprawie wynagradzania nauczycieli,

● zarządzenie ministra Pracy i Polityki Socjalnej w sprawie zasad wynagradzania pracowników ekonomicznych, administracyjnych i pracowników obsługi szkół.

10. Strony oświadczają, że w przedstawionych projektach zarządzeń możliwe będzie dokonanie zmian redakcyjnych wynikających z zasad legislacji, pod warunkiem, że nie zostaną zmienione rozwiązania merytoryczne zawarte w brzmieniu projektów akceptowanych przez związki zawodowe.

11. Strony potwierdziły potrzebę ścisłego współdziałania w całościowej reformie systemu wynagradzania.

Zaznaczyć należy jednak, iż dalsze preferowanie motywacyjnego systemu plac wiązać się powinno z demokratyzacją zarządzania oświatą, zwiększeniem samodzielnności placówek oświatowo-wychowawczych i roli rady pedagogicznej.

Za Strony Związkowe: ZG ZNP — Jan Zaciura, Krystyna Wachowicz, Bronisław Sieliński. KRAJOWA SEKCJA OŚWIATY I WYCHOWANIA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ” — Mirosław Sawicki, Jacek Rybicki, Krystyna Bojahr; MINISTERSTWO EDUKACJI NARODOWEJ: Zbigniew Wesołowski.

WARSZAWA, 1989.07.12

TEMAT DNIA

INDEKSACJA

Jak tak dalej pójdzie (odpukać w niemałowane drewno), dowolnie wybrany Polak będzie w stanie zdać każdy egzamin z ekonomii wprost śpiewając. Przerabialiśmy już i nadal ćwiczymy: waloryzację, rekompensatę, operację cenowo-dochodową, II etap reformy, inflację i dewaluację... Kolej przysłała na zamrożenie cen i plac oraz indeksację. Zostawiając na później zafundowaną nam przez ciągle z siebie nadzwyczaj zadowolony rząd Rakowskiego lipcową mrozonkę, zajmijmy się trochę szczegółowiej indeksacją.

W języku statystyki indeks to wskaźnik. Indeksacja plac więc to określenie stosunku (wskaźnika) plac w jednych dziedzinach do plac w innych. Co to oznacza w praktyce łatwo zrozumieć, gdy przypomni sobie tak ważną dla naszego środowiska ustawę o kształtowaniu plac w sferze budżetowej. Jej istotę stanowi określenie wzajemnego stosunku, zależności, mię-

dzy średnią placą w produkcji materialnej a uposażeniami w sferze budżetowej. I to właśnie jest klasyczny, wręcz podręcznikowy przykład indeksacji, która jawi się nam w tym świetle jako nic innego, niż określenie struktury plac w poszczególnych branżach lub całej gospodarce narodowej.

W ten sposób znaleźliśmy się na skądinąd znanym gruncie. Krytyka struktury plac w Polsce jest od lat powszechna. Prawidłową reakcją nań powinna być już dawno dokonana powszechna indeksacja, to znaczy stworzenie prawidłowego w sensie ekonomicznym i społecznym systemu wynagradzania za pracę.

Cale wyżej zaprezentowane rozumowanie odnosi się jednak do sytuacji statycznej, istniejącej tylko w teoretycznych rozważaniach. Placa bowiem to nie tylko suma pieniędzy, ale także możliwość nabycia za nie ściśle określonej ilości towarów, produktów, usług. Oprócz więc prawidłowej struktury, muszą piace mieć określoną siłę nabywczą, zapewniającą możliwość przeżycia każdemu zatrudnionemu na po-

ziomie, który stanowi wypadkową ogólnego stanu gospodarczego państwa oraz kwalifikacji, pracowitości i wydajności pracownika. I tu dochodzimy do drugiej części znaczenia terminu indeksacja, czyli związania poziomu plac ze wzrostem kosztów utrzymania. Jest to składnik „indeksacji” szczególnie ważny w warunkach panującej inflacji. Jego istota polega na zapobieżeniu stratom, które dotyczą każdego zatrudnionego w wyniku wzrostu cen, utraty wartości przez pieniądź. Sze- rzej wyjaśnić tej sprawy nie ma potrzeby, każdy z nas świetnie wie, że pozornie ten sam banknot 1000 zł w styczniu, a dziś — to zupełnie nie te same pieniądze.

Zgłoszony przy „okrągłym stole” związkowy postulat indeksacji, a więc automatycznego wzrostu uposażeń wynikającego z podwyżek cen odnosił się głównie do obrony siły nabywczej plac, miało na celu ochronę zatrudnionych przed spadkiem poziomu życia (choć w ogóle kwestia struktury plac należy do tzw. palących). Jest to, dodam, metoda dość powszechnie stosowana na świecie w warunkach panującej inflacji.

Indeksacje bywają różne. Czasem jest to stu procentowa rekompensata wzrostu kosztów utrzymania, dokonywana drogą podwyżki plac, częściej jednak — dzięki indeksacji — zatrudnieni otrzymują tylko częściowy „zwrot” skutków wzrostu cen, resztę muszą sobie dorobić; więcej pracować lub, po prostu, gorzej żyć, ubożej. Porozumienia „okrągłego stołu” zakładają (przy votum separatum OPZZ, który żądał stu procentowej kwotowej indeksacji) wskaźnik 0,8 indeksacji plac, czyli 80 proc.

zwrot wzrostu kosztów utrzymania dla pracujących i pełny, stu procentowy, dla emerytów i rencistów. Oznacza to, że kwota otrzymana w ramach indeksacji przez pracownika będzie zależała od jego poborów, będzie w pewnym stopniu chroniła poziom życia już przezeń osiągnięty. Rządowy projekt ustawy w tej sprawie jest obecnie w Sejmie, po pierwszym czytaniu.

Warto wiedzieć, że przewiduje on niezwykle skomplikowany sposób obliczania sum indeksacyjnych. Otóż zakłada się, że wypłaty dodatku drożyznianego (bo tak też można go dziś nazwać) nastąpią w sierpniu, a obejmą okres od 1 lipca. Podstawę obliczenia należnych kwot będą stanowiły wynagrodzenia z kwietnia, pomnożone przez wskaźnik wzrostu cen w II kwartale (GUS poda go w tych dniach) z uwzględnieniem wskaźnika 0,8. W ten sposób zostaną mając kształtowane wypłaty za II kwartał, zgodnie z rządowymi założeniami. Tu uspokajająca informacja dla pracowników naszego resortu; rząd zakłada, że pracownicy sfery budżetowej również w sierpniu otrzymają zaliczkowo, na poczet wrześniowych podwyżek kwoty, które pozwolą im (oby!) przeżyć ów cenowy szok.

Jak jednak będzie ostatecznie — zadecyduje Sejm, w którym już na wstępie wątpliwość wzbudził fakt, że ustawowo reguluje się sprawę mającą „żyć” tylko do końca roku. Indeksacja bowiem ma obejmować trzy kwartały tego roku; później kwoty te wejdą w uposażenia. Czekając więc na sejmowe rozstrzygnięcia, przetrzebiamy kolejny trudny rozdział podręcznika ekonomii. (kal)

RZUCONY NA GŁĘBOKĄ WODĘ

I NAGRODA

Poprosiłem ich do świetlicy. Trójka była z VIII i trójka VII klasy. W oczach widziałem zaniepokojenie, ale też obawę, a nawet strach.

— Taak — zacząłem, ukazując obecnym marsową minę. Wzięłem głęboki wdech i powiedziałem:

— Chciałbym zaproponować wam redagowanie gazetki w naszej szkole. Zrobiłem pauzę, w czasie której doszedł do mnie nerwowy śmiech jednej z dziewcząt.

— Gazetki z prawdziwego zdarzenia — kontynuowałem — ostrej, zdecydowanej, ciekawej, poruszającej naprawdę interesujące was sprawy... Proponuję wasz autentyczny udział, wasze zaangażowanie...

Teraz ich twarze wyrażały zdziwienie ale i zaciekawienie. Po godzinie byli „moi”. Tak mi się wówczas wydawało. Zapytałem, co o tym sądzą. Odpowiedzią były pojedyncze nieśmiało przytakiwania. Ową nieśmiałość i brak entuzjazmu kładłem na karb nieznaności tej pracy. Nie wiedziałem wówczas, jak wiele będę musiał usprawiedliwiać ową niewiedzę.

Tworzenie gazetki było jedną z form zajęć pozalekcyjnych, które próbowałem wprowadzić w mojej szkole. Przyszanowałem, że przystępowałem do tego pełen pomysłów i nadziei, że lepiej zrozumieć młodzież i rozbudzić jej zainteresowania.

Prowadziłem też lekcje. Początkowo uczyłem biologii i chemii. Po odejściu nauczyciela w doszedł jeszcze ten przedmiot. Trwało już niespełna od dwóch lat, a właściwie parę miesięcy, biorąc pod uwagę roczną służbę wojskową oraz parotygodniowe „saksy”.

Wracając dziś myślą do moich pierwszych dni w tej szkole widzę, jak zmienił się mój stosunek do niej, jakich nabrałem doświadczeń, ile z tego zaangażowania znalazło ujście w pracy, a ile to mrzonki i idee fix.

Jest mroźny lutowy dzień. Pierwszy raz w gabinecie dyrektora. Za drzwiami nauczyciele.

— Dostanie pan kilka godzin, do pełnego etatu. Pani Bożeno, co możemy dodać? Zajęcia w świetlicy. Zrobi pan rozkład materiału, tu gdzie mam przykłady. Pani Bożenko, gdzie te rozkłady? Jest pan zobowiązany do przygotowania konspektów do każdej lekcji. Powoli wejdz pan w rytm.

Wszedłem w rytm o wiele szybciej, niż sądziłem. Już następnego dnia jedna z nowych koleżanek zaprowadziła mnie do VII klasy, przedstawiła w dwóch zdaniach i...

wyszła. Stałem sparaliżowany. Kilka razy w życiu zdarzyło mi się w decydujących momentach zesztywnieć. Wtedy był to ów kolejny raz. Sucho w ustach, spojrzenie trzydziestu paru uczniów i pustka w głowie.

No cóż, rzucanie na głęboką wodę jest ponoć dobre dla młodych, by szybko i samodzielnie rozpoznali „nowy teren”. Zastanawiam się jednak, czy nie byłoby lepiej, gdyby dyrektor wówczas poinformował mnie, jakie zwyczaje panują w szkole, z jakimi dziećmi będę pracował, jakie metody uważa za dobre, jak osiągnąć maksymalne efekty. Zbicie mnie przez dyrektora w ten pierwszy dzień zasugerowało, że tutaj efekty nie są najważniejsze. Utwierdził mnie w tym on sam, także i później nie dając żadnych wyjaśnień ani rad.

Na lekcjach chemii zauważyłem, że dzieci pasjami „wkuwają” regułki, które im wierzają zaraz po ich wyrecytowaniu. Postanowiłem nauczyć ich myśleć. Co parę dni powtarzałem: nie klep na pamięć, ucz się myślenia, przyda ci się też poza szkołą. Po kilku tygodniach, w czasie przerwy, jeden z uczniów w luźnej rozmowie ze mną wyraził myśl rozgrzewającą serce. „Pan uczy nas myśleć, a to jest bardzo ważne”. Kilka godzin potem w ubikacji, stojąc w kabinie obok, usłyszałem: „ty, trza temu nowemu gadać to, co on na lekcjach, to będzie luz”.

Zajęcia świetlicowe. To dopiero niezła zabawa. Otwieram dziennik takich zajęć i czytam. „Pogadanka na temat ciężkiej pracy górnik”, albo „Tradycje świąteczne w wypowiedziach słownych i rysunkach”. Siedzę i czytam wśród kilkunastorga dzieci krzyżujących, biegających, bijących się w oczekiwaniu na lekcje lub autobus wożący ich do domu.

Moją uwagę zwraca ogromne, nieme pudło stojące w kącie.

— Telewizor od dawna zepsuty? — pytam.

— Proszę pana, on tak stoi od dwóch lat, kabel od anteny się przerwał, nie można go kupić.

— Jak to, kabla nie ma?

— Bo to musi być specjalny, do koloru.

Widzę, że uczysz się szybko — powiedział mój nowy kolega. Słuchaj jesteś już nasz. Co miesiąc będę ci odcigał trzy stówy na „fundusz reprezentacyjny”. Uzbiera się na flachę. Dzieci się nie obawiają. Jak będziesz ze wszystkimi dobrze żył...



Fot. M. Suchecki

Teraz idziesz do armii i powiem ci, co masz zrobić. Kupujesz ciastka, połówkę i po lekcjach robimy imprezę. Taka, rozumiesz, tradycja, a tradycję trzeba szanować.

Chciałem usłyszeć, jakie zwyczaje panują w szkole, więc już wiem. No cóż, spodziewałem się bardziej zwyczajów wypływających z zaangażowania w pracę, serca dla dzieci, nowatorskiego spojrzenia. Mam za to imprezy przy każdej okazji, rozmowy na ten temat, kto z kim, kiedy i jak...

Ale... nie można być marzycielem. Trzeba w tym miejscu przedstawić obiektywne sytuację. Szkoła jest zbiorczą. Dzieci dojeżdżają. Gdy zostaną po lekcjach — nie mają czym wrócić do domu. Nauczyciele w większości dojeżdżają codziennie kursowymi autobusami z pobliskiego miasteczka. Nie ma pomieszczeń na zorganizowanie zajęć pozalekcyjnych typu kółko fotograficzne, teatralne itp. Trudności duże. Nie ma też woli do ich przezwyciężenia.

Tak sarkam, narzekam, ale dajmy się na chwilę ponieść fantazji. Szerokie gremium zapoznaje się z moimi uwagami, cichnie, ale już po chwili słyszę:

— Czego ty chcesz, o co ci chodzi? Każdy za te psie pieniądze przykładą się przecież, stara jak może, nikt nie lekceważy obowiązków.

— Tak, mili państwo, ale co dajecie dzieciom naprawdę?

— Jak to, co? — znów gremialnie. — Uczymy, wychowujemy i... w ogóle. No, z wychowaniem jest ciężko. Środowisko jakie jest, każdy wie. Weź takiego M. Jest ich dziesięć w domu, ojciec siedzi, matka pije. A szkoła daje zapomogi, można powiedzieć ubiera, dożywia...

— A co wy im proponujecie, co jest tylko od was, nie z zarządzeń?

— A co ma być nasze? Wszystko jest w programie, trzeba się go trzymać. Jeszcze nadążyć trudno, nikt nie ma czasu...

No właśnie, a czy wiecie, że generalnie dzieci nie chcą chodzić do szkoły? Boją się, są przestraszone, często zmęczone, nie wiedzą, czego mogą oczekiwać po nauczycielach. Powiedzmy sobie szczerze. Wam chodzi przede wszystkim o trochę szacunku, autorytetu i spokoju. Nic poza obowiązkowe zajęcia, których łapiecie zresztą jak najwięcej, by dorobić. Tak by się potoczyła owa dyskusja, ale się nie potoczy, bowiem... Po co?

Nabrałem pewnych doświadczeń, zdążyłem wypróbować parę metod prowadze-

nia lekcji. Raz większy nacisk kładę na dyscyplinę, za parę tygodni na urozmaicenie lekcji, innym razem podaję tylko informacje podstawowe, tak, by najgorszy uczeń je przyswoił. Złoty środek polega zapewne na połączeniu tych metod. Oby tylko nie skostnieć przy metodzie najwygodniejszej dla mnie. Nauczyłem się trochę „żyć” z gronem, tolerować jednych, akceptować innych. Czas więc chyba na wyciągnięcie wniosków.

Jako młodego nauczyciela niepokoi mnie kilka spraw, z którymi nie potrafię sobie poradzić. Pierwszą jest organiczny wręcz opór grona na wszelkie zmiany, możliwe i — według mnie — wskazane do dokonania w naszej szkole. Myślę, np. o zamawianiu filmów i wykorzystaniu projektora, który dalej pokrywa kurz, lepszym zaopatrzeniu biblioteki, w której ilość lektur na klasę rzadko przekracza liczbę pięć przy klasach liczących sobie 35—40 uczniów. Podział klas na mniejsze grupy, zorganizowanie częstszych dowozów dzieci do szkoły, by mogły zostać po lekcjach na różnego rodzaju kółkach. No i np. zdecydowane egzekwowanie odpowiedzialności nauczycieli za wyposażenie i wygląd szkoły. Nauczycieli, nie uczniów i ich rodziców.

Może i dużo oczekuję, ale naprawdę widzę dążenie tylko do tego, by właśnie niczego nie zmieniać. No cóż, zapewne wygodnie pani S., pani C., czy panu W., by wszystko trwało w marazmie i bezruchu.

Drugą sprawą, która bardziej mnie boli, niż intriguje, jest motywacja do nauki. Egzekwowanie wiedzy, przy motywacji jaką stanowi ocena, jest — moim zdaniem — bzdurą i wielką szkodą wyrządzoną dzieciom. Czym bowiem powinna być ocena? Notą dla nauczyciela i jednym ze sposobów gratyfikacji pracy ucznia. A czym jest? Jedyną motywacją do nauki, przy czym po przekroczeniu pewnej granicy (ilości ocen ndst.) przestaje w ogóle oddziaływać. Szkoła powinna zapewne dawać podstawowy zasób wiedzy, ale — w moim zrozumienu — przede wszystkim ma na celu rozwijanie osobowości młodego człowieka, dawanie mu wielu możliwości do wyboru. Możliwości kształcenia swojej postawy, światopoglądu, zdobycia wiedzy. Powinna też ukazywać jej znaczenie i sposoby wykorzystania w życiu. Po co 10-, 12-letnie dziecko ma się uczyć, skoro nie widzi możliwości wykorzystania zdobytych informacji w tym, co robi poza szkołą.

I jeszcze jedno. Uczylimy i uczymy tak, by dzieci nie umiały myśleć otwarcie, nieschematycznie, bez sloganów. Właśnie bez sloganów. Już w pierwszych artykułach do gazetki zauważyłem, że nie reprezentują takiego myślenia, jakie my, dorośli, chcielibyśmy widzieć. Dzieci nie potrafia przebrnąć przez gąszcz frazesów, jakimi są karmione także przez nas, pedagogów. Rzadko udaje mi się wykręcić myśl naprawdę własną, a odbiegającą od tego, co miłe widziane. Np. cóż to jest, według siódmoklasisty, patriotyzm? „Miłość do ojczyzny wyrażająca się w pracy dla kraju i obrona w wypadku wojny”. Ale czy on naprawdę tak myśli i czy będzie te idee realizował?

Stoiśmy przed dopiero co wystawionym drugim numerem naszej nowej gazetki. Zainteresowanie niewielkie, paru nauczycieli i kilku uczniów. Pani G.:

— Tu krzywo, trzeba to przesunąć. Tu jest błąd, każdy przez rz, biegnij pan po długopis — to do mnie — i natychmiast popraw. — O, drugi błąd, tak nie może być.

— Tak, zgadzam się, ale niech pani zwróci uwagę na treść, na to, co dzieci chcą przekazać, przedstawiając swój punkt widzenia. Czyta dalej, czekam.

— O, znów błąd, masz pan ten długopis?

— Dyrektor to przeglądał — ja na to — jeśli czytał... — ale może rzeczywiście nie powinienem.

— Znalazłam trzy błędy — triumfalnie zwróciła się do mnie. Muszę uciekać, bo wykupią mi te rajstopy.

„OKON”

KONKURS

ROZSTRZYGNIĘTY

Miła wiadomość dla młodych nauczycieli, którzy nadesłali do redakcji swoje prace na coroczny konkurs pod hasłem „Pierwsze kroki w samodzielność”. Ogłoszony został z początkiem minionego roku szkolnego, przedłużony w lutym br. Tak się bowiem składało, że im dłuższe doświadczenie mieli autorzy prac, tym ciekawiej pisali. Przedłużenie terminu nadsyłania prac okazało się więc celowe, bo owoce.

Jury w składzie: red. Maria Rybarczyk oraz red. Henryka Witalewska i Danuta Rakosz — przedstawicielka Wydziału Pedagogicznego ZG ZNP, po zapoznaniu się z treścią prac, przyznało następujące nagrody i wyróżnienia:

NAGRODĘ I — 20 TYS. ZŁ. otrzymuje Ireneusz Srokowski z Ptasnicy, gm. Milicz.

NAGRODY DRUGIE — PO 15 TYS. ZŁ. otrzymują: Gabriela Krupńska-Srokowska z Potaszn, gm. Gędkowice oraz Beata Malek z Wodzisławia.

NAGRODY TRZECIE PO 10 TYS. ZŁOTYCH każda — otrzymują: Julianna Kosecka z Marzenina, woj. sieradzkie; Mieczysław Dudek z Przemyśla oraz Marianna Bochniak z Kielc.

WYRÓŻNIENIA PO 4 TYS. ZŁOTYCH przyznano: Mirosławowi Urbaczewskiemu z Białochowa, woj. toruńskie; Stefanowi Podedwornemu z Ław, woj. ostrołęckie oraz Mieczysławowi Korczyńskiemu z Wąsowa.

UPOMINKI KSIĄŻKOWE OTRZYMUJĄ: Elżbieta Pierzyńska z Krakowa, Edward Ziemia z Starosielca, woj. Zielona Góra, Iwona Kubisa z Zawiercia, Wiesław Pisarski z Dąbca, woj. leszczyńskie oraz Olga Wagner-Zaskórska z Rychwału, woj. konińskie.

Wszystkim laureatom gratulujemy zwycięstwa w naszym konkursie. Nagrody wysłamy pocztą.

Powyżej drukujemy fragmenty pracy wyróżnionej I nagrodą. Fragmenty dalszych prac w kolejnych numerach.



POLACY NA LITWIE

W SUDERWI KOŁO WILNA

Suderwa leży nad jeziorami Wilnoja, Rzesza i Kauszelis. Z jeziora Rzesza wypływa rzeczka o tej samej nazwie i wpada do Willi, która płynie nieopodal Suderwy. 80 proc. mieszkańców tego miasteczka stanowią Polacy.

Miasteczko leży 15 km na zachód od Wilna, na trasie Wilno — Kłomowo (pierwsza stolica Litwy). Wzdłuż trasy płynie rzeka Willa, a jej brzegi wraz z okolicami (4500 km kw.), stanowią rezerwat przyrody. Suderwę oraz jej okolice często odwiedzają wycieczki z Polski, NRD, Wilna, Kowna, Rygi. Przyciąga je piękny zabitek architektoniczny — kościół.

Jest to budynek o okrągłym kształcie, ozdobiony kolumnami w stylu doryckim, odznaczający się piękną kompozycją. Odwiedził go w swoim czasie, troszczył się o niego profesor Stanisław Lorentz, który pisał: „Kościół w Suderwi na zewnątrz jest oboczony okazałą kolumnadą. Reprezentuje on dobitnie styl klasycystyczny z doby Wawrzyńca Gucewicza, twórcy przebudowy Katedry Wileńskiej w końcu XVIII w.”. Nasz kościół wybudowano w latach 1803—1822. Dziś jest pięknie wyremontowany, obok zabany cmentarz. Wszystkie dzieki staraniom miejscowego księdza, Adolfa Trusowicza i Józefa Brazisa. Ostatnio wystąpił tu z koncertem Chór Kameralny „Canzona” z Lublina pod kierownictwem Zdzisława Ohara.

Na ziemi suderwskiej są trzy szkoły — dziewięciolatkę w Puciniszkach, Rostynianach i Suderwi. We wszystkich językiem wykładowym jest język polski.

Szkola w Suderwi, o której chce Czytelnikom mego ulubionego „Głosu Nauczycielskiego” opowiedzieć, jest rozlokowana w pałacu, który otacza piękny park obok jeziora Kauszelis. Przypuszcza się, że pałac w dawnym majątku Suderwa również został wzniesiony według projektu Wawrzyńca Gucewicza. Na scenie tego pałacu w roku 1857 po raz pierwszy polski poeta, Władysław Syrokomla (Ludwik Kondratowicz), wystawił dramat „Chatka w lesie”. Stąd powodziła sztuka na sceny warszawskie.

Ostatnim właścicielem Suderwy i pałacu, w którym mieści się nasza szkoła, był Marian Zdzichowski, znakomity uczonec i rektor Uniwersytetu Wileńskiego im. Stefana Batorego. Zmarł w październiku 1938 r. i jest pochowany w Wilnie na Cmentarzu Antokolskim. Szkoła czci jego pamięć. Wiele ciekawych pamiątek o życiu i pracy rektora Zdzichowskiego przekazali nam: sędziwa mieszkanka Suderwy — Jadwiga Butrymowicz, Franciszek Mejerowicz i Janina Zigis. Pragniemy, aby nadano naszej szkole imię tego znakomitego uczonego.

Jest to szkoła dziewięcioklasowa, dzieci rozpoczynają naukę po skończeniu sześciu lat. Na Litwie już nie mamy klas zerowych. Szkoła liczy 83 uczniów i ich liczba z każdym rokiem się zwiększa, bowiem miasteczko rozbudowuje się, przybywa mieszkańców. W tym roku szkołę ukończyło osiem osób, zaś do klasy pierwszej zapisało się i otrzymało podręczniki (bezpłatnie) 14 sześciolatków. Mamy 14 nauczycieli oraz kierownika biblioteki. Wszyscy są Polakami, znają doskonale język ojczysty. Na etacie jest również zastępca dyrektora szkoły ds. pracy naukowo-wychowawczej, a także starszy zastępcy pionierów. W zespole nauczycielskim przeważają niewiasty. Personel gospodarczy liczy 7 osób. Pierwsza promocja (była to wówczas szkoła siedmioletnia, zaś dziewięcioletnia jest od 1986), miała miejsce w 1954 roku.

A teraz o nauczycielach. W 1965 roku byłem po raz pierwszy na warszawskim kursie języka polskiego. Wtedy to nasza kierowniczka, obecna docent Uniwersytetu Warszawskiego, Maria Nogajowa, na jednym z wykładów zacytowała słowa wybitnego polskiego polonisty, prof. Juliusza Kleinera: „Dobry program, dobry podręcznik i zły nauczyciel to kombinacja znacznie gorsza niż zły program, zły podręcznik i dobry nauczyciel”. Rola nauczyciela języka polskiego jest szczególnie ważna w obcym kraju. Trzydzieści lat temu szkoła średnia z polskim językiem wykładowym nie miała podręczników języka i literatury polskiej. Pełnił tę rolę dziennik „Czerwony Sztandar”, który drukował artykuły o życiu i twórczości pisarzy polskich. Niektórzy nauczyciele świetnie dawali sobie radę. Ale to już przeszłość.

Dziś w Suderwi mamy nauczycieli z pełnym wyższym wykształceniem, specjalistów niemal ze wszystkich przedmiotów, oddanych sprawie szkoły polskiej.

Nie sposób opowiedzieć o każdym, wspomnę więc o kilku, którzy mają dorobek na niwie krzewienia polskości. Oto Daniel Romanowski, nauczyciel — polonista. Od 1959 roku jest solistą Polskiego Zespołu Pieśni i Tańca „Willi”. Jest w szkole prezesem związku zawodowego. Córkę Renatę uczy w polskiej szkole, co nie zawsze bywa w przypadku nauczycieli polskich szkół. (W rejonie wileńskim mamy 28 szkół dziewięcioletnich liczących po 200 i 300 uczniów). We współzawodnictwie socjalistycznym szkoła nasza zajmuje od trzech lat drugie miejsce. Polonistka, Leokadia Kotłowska, jest rodowitą mieszkanką Suderwy. Pracuje tu od trzydziestu lat. Była współorganizatorką Koła im. Emilii Plater Związku Polaków na Litwie. Daniel i Leokadia uczestniczyli trzykrotnie w warszawskim kursie języka polskiego.

Plastykę wykłada młody nauczyciel, absolwent Wileńskiego Instytutu Sztuk Pięknych, Wiktor Szocił. W klasach początkowych sumiennie i z powołaniem pracują Stanisława Kotłowska i Maria Butkiewicz. Obie w ciągu roku szkolnego miały możliwość pojechania do Polski, by doskonalić mowę ojczystą. Wzorem jest zastępca dyrektora, polonistka Gertruda Kiełbowska. Z poświęceniem pracuje młody nauczyciel pracy technicznej i fizyki — Tadeusz

Geczys. Obecnie jest na obozie harcerskim w Polsce.

Od 20 już lat matematykę wykłada Halina Jurewicz. Do nauczania muzyki została do nas skierowana absolwentka Wileńskiego Państwowego Konserwatorium Zita Subotowicz. Biologii i chemii od 30 lat uczy Zofia Gryniusz-Daszkievicz, która również w bieżącym roku odwiedza Polskę. Wszyscy nauczyciele mają wyposażone pracownie przedmiotowe, skompletowane biblioteki w domu. Oprócz radzieckich wydawnictw posiadają oni w swoich zbiorach: „Głos Nauczycielski”, „Świat Młodych”, „Piłomyk”, „Piłomyczek”, „Miś”, „Świerszycz”, „Poznaj swój kraj”, „Mówią wieki”, „Życie Literackie”, „Życie Warszawy”, a także literaturę piękną i fachową, wydawaną w Polsce. Prenumerują „Trybunę Ludu”, „Kurier Polski” i „Dziennik Ludowy”.

Żywo jest rozwinięta korespondencja młodzieży suderwskiej z uczniami z Polski. Posiadamy na Litwie poetów piszących po polsku, często u nas bywa Aleksander Sokolowski.

W roku ubiegłym w szkole była zorganizowana ekspozycja nt. „Folklor polski w Suderwi i okolicach”. Uczestnikami ekspozycji byli studenci polonistyki wileńskiej, zaś kierownikiem profesor Uniwersytetu Wrocławskiego — Czesław Hernas. Utrzymujemy kontakt z Towarzystwem imienia Marii Konopnickiej i Towarzystwem im. Chopina w Warszawie, z towarzystwem „Polonia”.

Wczesnym rankiem zagląda do szkoły listonosz i zawsze ma dla nas coś z Polski. W tym miejscu chciałbym podziękować warszawiakom za przysyłanie podręczników i książek do szkolnej biblioteki. Dzięki nim nasze dzieci mogą normalnie czytać książki i czasopisma w języku ojczystym. Ciągłe jednak brakuje nam polskiej literatury pięknej i naukowej. Dobra praca tej placówki to zasługa Janiny Markowskiej, bibliotekarki.

Jak przyspieszyć awans kulturalny suderwskiej młodzieży? Jaka ma być szkoła polska na Litwie? W czym mogą nam pomóc przyjaciele z Polski? Te i inne pytania są omawiane na zebraniach, w których biorą udział nauczyciele, uczniowie, ich rodzice, przedstawiciele środowiska społecznego. Na przykład Krystyna Markowska, prezes samorządu szkolnego zaproponowała, by zmienić formę zabaw noworocznych w szkole. Ja zaś zgłosiłem propozycję tradycyjną: kuligiem w Nowy Rok... W Suderwi ta tradycja żyje ciągle, toteż wszyscy pomysł poparli.

Józef Dorosiewicz (prezes Komitetu Rodzicielskiego), inżynier z kolchozu „Suderwa”, podjął się zorganizować konie, sanki, janczary. Młodzież wspólnie z rodzicami je udekorowała. Oprawę muzyczno-literacką o tematyce Mickiewiczowskiej opracowali dzieci. Kulig wyruszył sprzed szkoły. Dało to dzieciom i dorosłym moc radości. „Weszliśmy w skórę” młodzieży szkolnej.

Kulig — to folklor, a folklor — to klucz do narodu. Więc wyruszyły kuligi w całym rejonie Suderwy i ziemi wileńskiej.

Pamiątkowe zdjęcie klasy promocyjnej (w 1987 roku) w parku szkolnym.

Poprzez język ojczysty, kulturę polską, tradycje ludowe umacniamy więzy z innymi narodami. Inicjatywa zrodzona w Suderwie została poparta przez władze rejonu wileńskiego. Wskrzესiliśmy piękną tradycję ludową.

A oto przykład innej polskiej uczy duchowej. Jak Suderwa Suderwą nigdy jeszcze to miasteczko nie przeżywało takiego „najazdu” gości, jak 26 maja 1989 roku. Uczniowie, rodzice, nauczyciele, goście z Wilna i Lublina słyszeli ostatni w tym roku szkolnym dzwonek. Wręczono dyplomy honorowe, upominki, świadectwa, kwiaty, dary z Polski... Wreszcie zabrali głos goście: Daniel Marszałek, prezes lubelskiego Kameralnego Chóru „Canzona”, dyrygent Zdzisław Ohar, członkini chóru — Bożena Brzozowska. Wręczyli zaproszenia do Polski i upominki młodzieży szkolnej. Redaktor naczelny „Czerwonego Sztandaru” (gazeta polska wychodząca w Wilnie) — Zbigniew Balcewicz opowiedział o swej podróży do Rzymu, o spotkaniu z papieżem Janem Pawłem II, pokazał zdjęcie wspólnie zrobione, przywiozł ziemię z cmentarza wojkowego na Monte Cassino.

Od dwóch lat zapoznaliśmy uczniów z historią Polski. Przyjeżdżających dziennikarzy i naukowców z Polski systematycznie zapraszamy na prelekcje o Polsce i jej dziejach. Wśród nich byli Władysław Butkiewicz (Gdańsk), Jan Liksza z „Kuriera Polskiego”, Krzysztof Grzesiok z Lublina, major Czesław Stupieńko z Olsztyna, Leszek Wątróbski („Hejnal Mariacki”), Alicja Basta (z „Reportera”). Ta ostatnia pomogła zorganizować Klub Przyjaciół Warszawy, który zamienił się w Koło im. Emilii Plater Związku Polaków na Litwie.

W zgodzie z reformą i pierestrojką, od 1989 roku w szkołach polskich na Litwie wprowadza się wkłady z historii Polski w klasach V, VIII, X, XI po jednej lekcji tygodniowo kosztem zajęć fakultatywnych lub przedmiotowych przeznaczonych do wyboru.

4 lipca 1989 roku trzech naszych prymusów (Krystyna Markowska, Julita Brazis i Andrzej Kotłowski) wyjechało do Kijana pod Lublin na obóz polonijno-harcerski, za co dziękujemy towarzystwu „Polonia”.

Chcąc zmienić Suderwę, zaczęliśmy od rodziny jako komórki, w której polskość się zaczyna. Reszta musi zrobić szkoła, być otwarta na wszystko. Miara współczesnego patriotyzmu jest nasz, nauczycieli, wkład w wychowanie dzieci. To tak proste, a tak trudne.

Pracę w szkole polskiej na Litwie rozpocząłem w 1953 roku. A czyż może być praca piękniejsza od pracy na rzecz szkoły narodowej?

LUDWIK MIYŃSKI
dyrektor Suderwskiej Szkoły
Dziesięciolatkę
prezes Koła im. Emilii Plater
Związku Polaków na Litwie

Ludwik Miński wręcza absolwentce, obecnej słuchaczce Wileńskiej Szkoły Medycznej, Krystynie Macienkiewicz świadectwo ukończenia szkoły.



MAŁE
MUZEUM

OBCOWANIE Z PRZESZŁOŚCIĄ

Zaczął się od prostego pomysłu: zebrać i ocalić od zapomnienia stare, leżące po kątach w gospodarstwach rolników dawne narzędzia pracy i przedmioty codziennego użytku: maselnice, misy, czerpaki, maglownice i wrzciony, sierpy i drewniane sochy i brony. Rzadkie okazy kultury materialnej sprzed 100 i więcej lat. Pomysłodawcą był dyrektor Szkoły Podstawowej w Jasienicy — Zygmunt Czechowski. Szybko rozbudził apetyty dzieci: szperały po kątach, wynajdywały różne przedmioty na strychach, w stodółkach i domowych składzikach. Niektóre przywoziły prawdziwe unikaty, jak choćby drewniana broń czy gliniane bliźniaki, jakie inne niż te z Cepelii, bo autentyczne.

Po kilku latach gromadzenia ciekawych, oryginalnych przedmiotów — zdecydowano urządzić Izbę Tradycji, nazywaną także Izbą Pamięci Narodowej. Gromadzi się tu również eksponaty historyczne.

W urzędzeniu historycznej części — poświęconej II wojnie światowej — pomogło Muzeum Wojska Polskiego, głównie jego dyrektor. Do tego, co szkoła już zgromadziła, dodał wiele eksponatów, jak choćby urna z prochami żołnierzy spod Lenino czy mundury i wyposażenie żołnierzy polskich z ostatniej wojny.

W tej części szereg oryginalnych eksponatów z okresu września 1939 i lat okupacji: broń, dokumenty, dowody tożsamości obywateli polskich i pamiątki ruchu oporu, jak chelmy, odznaczenia, nielegalna prasa z okresu okupacji. Obok pamiątki walki regularnego WP na Zachodzie i szlak bojowy Wojska Polskiego od Lenino aż po Berlin. Oryginalny pośmiertny list porucznika Rybkowskiego, bohatera walk o wyzwolenie Warszawy, pisany zapewne już niesprawną od tortur ręką: „Umieram za Ojczyznę, dajcie opiekę żonie i dzieciom”. Kartki, również oryginalne, z obozów koncentracyjnych. Legitymacje i zdjęcia: np. legitymacja 18 Lwowskiego Baonu Strzelców z 1946 roku, albo legitymacja nr 19487 upowazniająca do noszenia Krzyża Pamiątkowego Monte Cassino, wydana w 1947 r. Wojciechowi Jankowskiemu.

Jest gablota ze zdjęciami i pamiątkami oraz prochami braci Marków, którzy polegali w czasie wojny w pobliskiej wiosce. Rodzina ze Związku Radzieckiego, która została powiadomiona o

miejscu śmierci obu braci, przesała do muzeum szkolnego piękny album z ich zdjęciami.

Obok części historycznej znalazły się elementy umundurowania żołnierzy LWP i ilustracje dotyczące wspólnego polsko-radzieckiego lotu w Kosmos.

Jest też dział poświęcony historii szkoły w Jasienicy oraz działalności szkolnictwa w niepodległej Polsce od 1918 r. do czasów współczesnych. Są pamiątki zasłużonych nauczycieli tej szkoły — fotografie, dowody tożsamości, odznaczenia państwowe i różne stare dokumenty. Zdjęcia starej szkoły, tej z lat dwudziestych i trzydziestych: drewniany budynek kryty słomą, wyglądający jak stara szopa. I drugie zdjęcie — budowa nowej szkoły — prowadził ją przed wojną rodzice obecnego dyrektora — Maria i Kazimierz Czechowscy. Okres powojenny: obok budynku szkolnego barak mieszczący świetlicę. Dziś w tym miejscu czynnymi społecznie wznosi się piękna sala gimnastyczna, jakich szkoły wiejskie mają niewiele.

Ciekawostką jest słynny 23 numer „Piłomyka” z marca 1936 roku, poświęcony dzieciom radzieckim. Obok tabliczka szkolna z 1947 r., zastępująca zeszyt.

Około zwiedzającego szczególnie przyciąga ta część ekspozycji, która poświęcona jest kulturze materialnej regionu. Te stare, zniszczone przedmioty są piękne. Młodzież ogląda je z niedowierzaniem — toż to niemożliwe, aby na tych drewnianych deseczkach urabiało się włókno na przędzę, a na stojącym obok krośnie — tkalo płótno. Stare żelazka „na duszę”, młynki do pieprzu, waga sprzed stu lat — dziś już trudno sobie wyobrazić, że tym wszystkim ludzkie się kiedyś posługiwały.

W tej scenarii lekcje historii czy polskiego przestają być nudne. Przynoszą też efekt całkiem praktyczny — młodzież zarażona bakcylem poszukiwania śladów przeszłości zbiera starocie, jest historycznie rozbudzona. W tym małym muzeum może obcować z przeszłością.

W księdze pamiątkowej wpisywano godne muzeum z prawdziwego zdarzenia.

Skądinąd wiem, że Izba Tradycji to oczko w głowie jej twórcy — dyr. Czechowskiego. To kawałek życia zawodowego, które poświęcił tej szkole. Izba zdobyła I miejsce w wojewódzkim konkursie i niewiele ma sobie równych w kraju. W kwietniu ub. ro-

ku inspektor szkolny przyznał dyr. Czechowskiemu nagrodę specjalną „za zorganizowanie, wzorowe gromadzenie i udostępnienie zbiorów w Izbie Tradycji”.

Niestety, ten sam inspektor w roku bieżącym pozbawił dyrektora funkcji kierowniczej. A dyrektor przygotował to małe muzeum na przypadającą jesienią 70. rocznicę powstania szkoły. Włożył w to zbiieractwo całą duszę. Dziś, rozgoryczony, żałuje, że pracował sercem. — Gdybym wiedział — mówi, prezentując eksponaty — że spotka mnie taki cios, nie angażowałbym się aż tak bardzo. Bo skoro się tego nie docenia... To dobra przestroga dla innych.



Fotografował

MAREK SUCHECKI

Tekst MARIA RYBARCZYK



PO EGZAMIN DO SZKÓŁ ŚREDNICH

MYŚLENIA WCIAŻ ZA MAŁO

W komentarzach prasowych na temat tegorocznych egzaminów wstępnych do szkół średnich dominowało słowo „pogrom”. Według obliczeń niektórych dziennikarzy, aż 30 procent kandydatów w Warszawie oblało matematykę. Gdyby nie szansa poprawki, słabszym placówkom groziłby deficyt pierwszoklasistów.

Alarm nie był fałszywy. Nawet w renomowanym IX LO im. K. Hoffmanna odnotowano z matematyki więcej dwój, niż w latach poprzednich. W XLIV LO im. A. Dobiszewskiego potknęło się na tym przedmiocie 20 procent zdających, podczas

gdy na języku polskim zaledwie 3 procent. Skąd ta nagła „rzeź niewiniątek”?

Według opinii matematyków, zadania nie sprawiły kłopotu tym spośród absolwentów szkół podstawowych, którzy potrafili logicznie myśleć. Mechaniczne podstawianie liczb do wyuczonych na pamięć formułek tym razem na nic się zdało. Jeśli dodać do tego stres i nieumiejętność selekcjonowania zadań najłatwiejszych, by od nich właśnie zacząć rozwiązywanie, „matematyczny zawał” u sporej grupy kandydatów wydaje się bardziej zrozumiałą.

Surowa była również punktacja. Trójkę gwarantowały dopiero 44 punkty, czyli znacznie powyżej 60 procent 76-punktowej skali. (Z języka polskiego wystarczyło uzyskać połowę maksymalnej liczby punktów, by otrzymać ocenę dostateczną). Wymagania wobec kandydatów do klas matematycznych i o innym profilu nie były zróżnicowane.

Jednak wszystkie te utrudnienia nie usprawiedliwiają obserwowanej u młodzieży od lat tendencji do bezmyślnego odtwarzania wiedzy i kompletnego zagubienia tam, gdzie oczekuje się od niej samodzielności. Szkolne programy, preferujące encyklopedyczną wiedzę i nie sprzyjające indywidualizmowi metody wychowawcze mszczą się już po kilku latach edukacji, a ich konsekwencje sięgają zapewne w przyszłość. Niepokojącą pasywność umysłową uczniów potwierdził zresztą nie tylko — rzeczywiście nieco trudniejszy — egzamin z matematyki, lecz także wyjątkowo w tym roku łatwy — z języka polskiego. Uczniowie przeważnie omijali temat spoza lektur, zaś „Siłaczkę” i „Syzyfowe prace” omawiali z upodobaniem według dobrze wyuczonych schematów. Przedmiotem recenzji dowolnej książki historycznej lub science-fiction była w wielu przypadkach... „Zemsta”, gdyż na podstawie tej właś-

nie lektury uczy się w szkole podstawowej zasad pisania recenzji.

Natomiast nie do uczniówskich „zastęg” wpisać należy fakt, że egzamin z gramatyki zawierał kilka nonsensów. Oto w oddzielnym zadaniu sprawdzano teorię ortografii, jakby była to wiedza do wykucia, a nie sprawność, znajdującą swoje odzwierciedlenie w wypracowaniu. Zenująco łatwe było polecenie wstawienia przecinków do bardzo prostych zdań, a przecież interpunkcję również oceniano w wypracowaniu.

Tak się złożyło, że szczególnie krytyczne uwagi na temat poziomu tegorocznych kandydatów usłyszałam w liceach przeciętnych, nie wyróżniających się. Nie dziwnego — do szkół renomowanych trafia elita (w IX LO było tylko kilku kandydatów ze średnią ocen na świadectwach mniejszą od czterech). Uczniowie, którzy zdali nieco poniżej wysokiej w tych placówkach poprzeczki, odsyłani byli do innych, mniej popularnych szkół. Tam też trafiali „poprawkowicze”. W ten sposób stało się zadość poleceniu kuratorium, aby wszyscy, którzy zdali, znaleźli miejsce w liceach. Nie da się ukryć, że słabsze szkoły — chcąc czy nie chcąc — spełniły funkcję „śmietniczki”.

Wicedyrektor jednego z mokatowskich liceów (prosi o

zachowanie anonimowości) jest oburzony. Budynek pęka w szwach, w sześciu klasach pierwszych będzie się uczyć po około czterdziestu uczniów, którzy — nie ukrywajmy — nie są orłami. Ich aspiracje nie sięgają przeważnie studiów wyższych, za to ambicje władz oświatowych, by nie stosować limitów przyjęć oraz rodzicielskie — by dziecko ukończyło liceum, są zaspokojone. Zaś po czterech latach przychodzi refleksja: co począć, mając maturę, ale nie posiadając zawodu?

Dyrektorzy elitarnych placówek mogą sobie pozwolić na „przebieranie” w kandydatach. Nie muszą też traktować nazbyt poważnie zaleceń kuratorium, aby w razie nadmiaru chętnych tworzyć dodatkowe klasy. Skromność bazy lokalowej warszawskich placówek czyni tę dyrektywę czysto teoretyczną. A poziom szkół zostaje zachowany.

Wszyscy dyrektorzy zgodni są co do jednego: należy zmienić termin egzaminów wstępnych. Obecny, tuż po maturach, nakłada się na klasyfikację i zakończenie roku, blokując normalne funkcjonowanie szkoły. Może więc zmiany w egzaminacyjnych przepisach zacząć od rozwiązania tej, nieskomplikowanej przecież, kwestii?

MAGDALENA GROCHOWSKA

OŚWIATA NA WSI

Nauczyciele wiejscy — czy to odrębna kategoria pedagogów? Czym się różnią od miejskich? W jakich warunkach pracują? O czym marzą? Czego pragną? Co chcieliby zmienić w swoim losie? Czy praca na wsi jest dla nich wyzwaniem, szansą, czy może degradacją? Oto kwestie, które rozstrząsał uczestniczący I zespołu roboczego Krajowej Konferencji Młodych Nauczycieli Wiejskich.

Już pierwsza dyskusantka, Irena Spiewak, nauczycielka placówki filialnej w Matkach, gmina Ilawa, dała jednoznaczny odpowiedź: Pracuję w złych warunkach. Placówka w Matkach z klasami O—III mieści się w starym budynku bez centralnego ogrzewania. Z powodu palenia w ciągłe psujących się piecach w całej szkole potwornie się kurzy. Dzieci po ćwiczeniach gimnastycznych, przeprowadzanych oczywiście w klasach lub na korytarzu, są czarne.

Ale nie tylko warunki materialne określają sytuację nauczyciela. Na wyniki jego pracy wpływa także nieodpowiednia atmosfera wokół dziecka wiejskiego. Rodzice są zaharowani — mówi nauczycielka z Matyk — pracują w swoich gospodarstwach od rana do wieczora. Dla dzieci nie mają czasu. Toteż maluchy są „dzikie”, wystraszone, nieobyte. W początkowym okresie dużo wysiłku trzeba włożyć w nauczanie ich elementarnych zasad zachowania się wśród ludzi, podstawowych form grzecznościowych.

Dzieci wiejskie są zaniedbane nie tylko kulturowo, lecz także zdrowotnie. W oddziale Ireny Spiewak na dziewięćdziesięciolatków aż ośmioro ma wady postawy (skrzywienie kręgosłupa lub płaskostopie). U wszystkich dzieci stwierdzono próchnicę zębów. We wsi nie ma lekarza. Na wyjazdy do przychodni w Ilawie rodzicom brakuje czasu.

— Ja tych ludzi rozumiem — wyjaśnia nauczycielka. — Chcą jak najszybciej się wzbogacić. Nie dla zaspokojenia kreuzusowych żądz, lecz po to, żeby zarobić na nowoczesne maszyny. Praca w rolnictwie bez sprzętu oznacza bowiem anachroniczną harówkę, na którą dziś nikt nie chce się godzić.

Co mogła w tej sytuacji zrobić nauczycielka? Po prostu przeszła kurs logopedyczny oraz ćwiczeń korekcyjno-wyrównawczych w ODN i teraz sobie jakoś radzi.

Ten dość smutny obraz egzystencji wiejskiej nauczycielki sprowokował Urszulę Placzek z Gołuchowa w województwie kaliskim do polemiki. — Wprost trudno mi uwierzyć, aby na wsi było tak ciężko —

stwierdziła. — U nas trzy lata temu oddano do użytku piękną szkołę. Jest wyposażona w komputer. Mamy nawet pracownię komputerową.

Wprawdzie przyznała, że w jej gminie niektóre placówki też się wala, ale przecież działają komitety Narodowego Czynu Pomocy Szkole. Za ich sprawą zapanował w gminie powszechny ruch budowlany. Obecnie wszystkie szkoły są remontowane bądź rozbudowywane. Jedna powstaje od fundamentów.

Urszula Placzek podzieliła się ze słuchaczami jeszcze jednym swoim szcześnie. Jako młoda nauczycielka otrzymała mieszkanie ze wszystkimi wygodami — 64 m kw. — w Domu Nauczyciela, zbudowanym w tym samym czasie, co szkoła. Informacja, że dom dzieli od szkoły tylko ośrodek, chyba już „dobiła” koleżankę spod Ilawy.

— Taka idylla to dzisiaj jednak rzadkość — stwierdziła Katarzyna Gajewska z Godzianowa w województwie skierniewickim.

POD WIATR

Nie podzieliła optymizmu swojej przedmówczyni.

Warunki, w jakich pracuję, są trudne do wyobrażenia. Szkoła w Godzianowie mieści się w dwóch budynkach — murem i drewnianym. Obydwa są bardzo stare i nie mają centralnego ogrzewania. Ten drewniany to prawie barak. W czasie okupacji Niemcy trzymali w nim konie. Dawne boksy przerobiono na klasy. Gehenna zaczyna się z nadejściem mrozów. Palenie w piecach niewiele daje. Jest tak zimno — że nie można zmusić uczniów do tego, aby cokolwiek z siebie zdjęli, a każdy nauczyciel myśli tylko o tym, co by tu na siebie jeszcze włożył.

Na tym nie kończą się uciążliwości nauczycieli wiejskich. Wiele zmarła dyrektorem placówek na wsi przysparzają szkolne autobusy. Trudno je utrzymać w dobrym stanie technicznym bez własnego serwisu. Niszczą one już od samego gąszenia „pod chmurką”. Zresztą o samych dowożeniu dzieci mówiono niemal w tonacji martyrologicznej. Opieka nad dziećmi oczekującymi na autobus to dodatkowo kłopot nauczycieli.

Oświata wiejska jest niedoinwestowana i niedofinansowana — zgodzili się dyskutanci. Ale gdyby nawet spadł złoty deszcz pieniędzy to i tak nie usunąłby wszystkich bolączek. Dyskutanci narzekali nie tylko na bazę materialną. Może to wydać się zaskakujące, ale wbrew temu, co się tu i ówdzie mówi, wielu nauczycieli wiejskich na-

prawdę chce się uczyć, studiować i podnosić swoje kwalifikacje. Tylko że na drodze do indeksów i dyplomów napotykają — rzecz paradoksalna — więcej barier niż ułatwień.

Jedną z dyskusantek opisała swoją próbę dostania się na studia zaoeczne biologii na Uniwersytecie Łódzkim. Egzamin zdała, ale nie została przyjęta z powodu braku miejsca. Nie ma zastrzeżeń co do obiektywizmu egzaminatorów, jednak do domu wróciła zbulwersowana. Odkryła bowiem, że jej konkurentami byli świeżo upieczeni maturzyści, którzy w lipcu nie dostali się na medycynę lub inne atrakcyjne kierunki. — To jasne, że w porównaniu z nimi byłam bez szans — mówi rozgoryczona nauczycielka. — Przecież maturę zdawałam kilka lat temu i według starego programu.

Jednak najbardziej była oburzona tym, że owo maturzyści — jak wyczuła — traktowali studia zaoeczne jako chwilowy azyl, czy kuchenne schody prowadzące do studiów uprzednio wybranych. Natomiast ona

miała intencje całkowicie czyste. Jedynym motywem była chęć doskonalenia się zawodowego.

— Czy w tej sytuacji kadrowej, w jakiej znalazła się polska oświata, zwłaszcza wiejska, nie powinno się przyjmować na studia zaoeczne przede wszystkim nauczycieli? — zapytała dyskusantka, zaznaczając, że nie chodzi jej o zielone światło dla ignorantów, lecz ułatwienie ambitnym pedagogom, którzy już zdobyli doświadczenie zawodowe i chcieliby pogłębić wiedzę.

Temat podjęła cała sala niemal chórem. Okazuje się, że dla nauczycieli wiejskich jest to sprawa najwyższej wagi. Z aprobatą został przyjęty pogląd jednego z mówców, który stwierdził, że w naszych polskich warunkach wobec licznych mankamentów wyższych studiów pedagogicznych i uniwersyteckich, które do zawodu przygotowują słabo (zwłaszcza te ostatnie), lepszy jest model łączenia pracy ze studiami zaoecznymi. Nauczyciel, który skończył SN i przepracował kilka lat w szkole, naprawdę wie, co wprawdzie pisze. Studia człowieka który praktykę chce podbudować teorią, są o wiele efektywniejsze.

Przy okazji posypały się skargi na ministerstwo, które zakładając SN wabiło słuchaczy możliwością kontynuowania nauki na trzecim roku. Mit o drożności studiów pedagogicznych stał się zwyczajnym blefem. Powód jest jeden: niewydolność wyższych uczelni, które również przeżywają kryzys.

Skargi młodych nauczycieli wiejskich na administrację oświatową, która — jak twierdzą — hamuje ich zapędy do kształcenia się, wydają się dziwne i zaskakujące. Tadeusz Tomasiak z Zespołu Szkół Rolniczych w Radoryżu, województwo siedleckie, absolwent Akademii Rolniczej w Lublinie, w trzy lata po studiach magisterskich pragnął podjąć studia podyplomowe, ale nie otrzymał na nie zgody. — Jestem na fali — wyjaśnia — pragnę się kształcić, bo mam taką potrzebę. Jednak nie mogę, no, bo przepisy... Obawiam się, że za parę lat stracę motywację.

Nauczyciele, którzy podjęli studia, też nie mają łatwego życia. Niektórych nawet gryzie sumienie. — W tym roku zdawałam egzaminy końcowe i pisałam pracę magisterską — zwierza się świeżo upieczona absolwentka uniwersyteckich studiów zaoecznych. — Zgodnie z przepisami mogłam wziąć prawie 50 dni urlopu szkoleniowego. Niestety, lokalne władze oświatowe nie zdołały zorganizować zastępstwa. Zostałam magistrem ale dzieciaki na tym straciły.

— Gdyby chociaż administracja oświatowa ułatwiała życie — żali się nauczycielka-studentka. — Przepisy mówią, wyraźnie, że przysługuje mi 28 dni rocznego urlopu szkoleniowego. Dla czego więc muszę za każdym razem pisać podanie do inspektora z prośbą o zgodę na wyjazd na trzydniową sesję. Przecież wystarczyłoby, żeby sekretarka szkolna odpisywała kolejne dni aż do wyczerpania limitu.

Jakie problemy mają jeszcze nauczyciele na wsi? Otóż — jak usłyszałam — istnieje pewna kategoria szkół wiejskich jakby z góry skazanych na kryzys, wieczny impas i klęskę pedagogiczną. Są to placówki znajdujące się w pobliżu większych miast. Główną ich przypadłością jest niestająca rotacja kadrowa. Dobór pedagogów odbywa się na zasadzie selekcji negatywnej albo wyrachowania.

Pracę w nich podejmują z reguły nauczyciele o niskich kwalifikacjach, którzy nie „załapali się” do szkół w mieście, lub pedagogzy przed przejściem w stan spoczynku, po to tylko, żeby dodatkowym wiejskim podnieść sobie przyszłą emeryturę. Waldemar Weźniak, dyrektor szkoły podstawowej spod Jeleniej Góry z tą ostatnią kategorią nauczycieli już sobie poradził. Po prostu przestał przyjmować ich do pracy. Gorzej z pierwszymi. Tych musi angażować, bo innych nie ma. Tylko że scenariusz bywa potem stereotypowy. Nauczyciel zapisuje się na jakieś studia zaoeczne. Dyrektor chucha na niego, żeby skończył, ale spotyka go za to sama niewdzięczność. Podopieczny zdobywszy dyplom żegna się i przenosi do miasta, gdzie jako wykwalifikowanego przyjmują już chętnie.

— Czy nie można byłoby wprowadzić takiego zarządzenia, które obowiązywałoby korzystającego z parasola ochronnego nauczyciela do pozostania w szkole przynajmniej tyle lat, ile trwały studia? — zapytał raczej zdesperowany Waldemar Weźniak.

Jak się zatem ma oświata wiejska? Po staremu — pod wiatr i pod górę.

WITOLD SALAŃSKI

GDZIE ŁATWIEJ O OPTYZMIZM?

Zespół redakcyjny „Głosu Nauczycielskiego” rozmawiał z prof. Jackiem Fisla-kiem nt. ministerialnej wizji rozwoju edukacji oraz aktualnie wprowadzanych i przygotowywanych do wprowadzenia w najbliższej przyszłości innowacji oświatowych. Z zamieszczonej w „Głosie” (nr 22 z 28 V 1989 roku) relacji z tego spotkania emanuje realizm, przy czym bardziej zadowolony okazał się minister, bardziej zatroskany — redakcyjny zespół.

Mnie osobiście najbardziej cieszy fakt wkroczenia MEN na ścieżkę demokracji, czego dowodzą m. in. decentralizacja uprawnień, początek uspołecznienia oświaty, wygrana batalia o objęcie uprawnieniami Karty pracowników nadzoru pedagogicznego, upoważnienie dyrekcji i rad pedagogicznych do wyboru treści programowych i przesuwania ich zgodnie z rytmem pracy szkoły, zapowiedź o zmianie aktów prawnych krępujących demokrację i inne.

Natomiast w zupełności podzielam zatroskanie zespołu redakcyjnego „Głosu” o takie sprawy, jak: realizacja zaleceń „okrągłego stołu”, partnerskie traktowanie środowiska oświatowego przez nadzór (prze-

nich dociera do szerszej opinii społecznej. Ostatni szczebel nadzoru (dyrektorzy), jeżeli nie zamykają odnośnych regulacji do biurek to w najlepszym razie przekazują je podwładnym w sposób bezdyskusyjny, bez interpretacji, bez motywacji. Natępnie pracownicy nadzoru podczas swoich czynności w szkołach badają stopień wdrożenia konkretnych regulacji, głównie przez wywiad z dyrekcją i studiowanie księgi protokołów rady pedagogicznej. Potem piszą okragłe sprawozdania.

Tak zroganizowany obieg informacji nie przystaje do „kursu na demokratyzowanie oświaty”. Nie obejmuje lub przedmiotowo traktuje znaczą część bezpośrednich wykonawców. Implikuje zablokowanie najlepszych regulacji. Sprzyja wyzwaniu i krzewieniu inicjatyw lokalnych, nie mających wiele wspólnego z intencjami centrali, obciążających ponad sensowną miarę wszystkich członków społeczności szkolnej itd.

Nauczyciele zasypują pytaniami redakcję „Głosu”. Dlaczego nie pytają swoich zwierzchników lub pracowników nadzoru?

w zarządzeniu o radach pedagogicznych.” Głównym nie znalazł ministerialnych działań, które wymieniał na początku i gdyby minister nie zgodził się na wymianę myśli z czytelnikami „Głosu”, mógłbym na podstawie przytoczonego fragmentu zapytać: czy minister i jego kuratorzy nie holdują filozofii pojmującej szeregowego pracownika jako Golema — istotę niezdolną do myślenia i rozwoju, bezwolną i nieczułą?

ZMIENIAĆ KOMPLEKSOWO

Zaniepokoił mnie brak zapowiedzi zmiany całości zarządzenia w sprawie kierowania szkołą przez dyrektora we współdziałaniu z radą pedagogiczną. Minister zapowiedział jedynie zmianę zarządzenia o radzie pedagogicznej. Pomimo że nie badałem funkcjonowania zarządzenia, a tylko starałem się je zrozumieć i zrealizować zadania właściwe dla mnie (nauczyciela-wychowawcy) twierdząc, że całe to zarządzenie kwalifikuje się do wymiany, ponieważ przynosi więcej szkody niż pożytku. Później postaram się to udowodnić ze świadomością, że podana argumentacja może się okazać niezupełnie racjonalna (naukowo uzasadniona). Równocześnie mam nadzieję, że minister się nie obrazi za to, że wchodzę w jego i kuratorów podwórko i

własnego prawa, usłanowionego demokratycznie. Wyobrażam sobie, że autonomia byłaby czymś więcej niż obligatoryjnym współdziałaniem rady (choć tego nie wykluczam) z innymi podmiotami zajmującymi się sprawami szkoły.

PRAWO JEST NIESPOJNE

Do tej pory jest tak, że rada działa w oparciu o ministerialne zarządzenie określające szczegółowo tematykę i formy pracy za wyjątkiem samokształcenia, stanowiące w sposób feudalny przewodniczącego rady i dające mu uprawnienia dyktatorskie względem rady. Część tematyki jest typowa dla narad roboczych, rozumianych jako formy kierownictwa zespołem (np. zapoznanie rady z obowiązującymi przepisami prawa). Opracowywanie przez radę tematu „klasyfikowanie i promowanie” — jest młóczeniem słomy, gdyż nauczyciel w tych czynnościach jest autonomiczny. Zadanie występowania w sprawach oceny pracy nauczyciela (w postaci wniosku) jest niczym innym, jak ubezwłasnowolnieniem dyrektora i zainteresowanego nauczyciela. Wreszcie takie zadania, jak np. okresowe i roczne analizowanie i ocenianie stanu nauczania, wychowania i opieki oraz organizacyjnych i materialnych warunków

Bardziej zadowolony okazał się minister, bardziej zatroskany zespół redakcyjny.

ośmielał się ingerować w sprawy dla nich zastrzeżone.

CO TO JEST RADA PEDAGOGICZNA?

Przepisy mówią, że rada jest kolegialnym organem, który opiniuje, wnioskuje i podejmuje uchwały w sprawach związanych z realizacją działalności dydaktycz-

pracy szkoły są właściwe dla rady, ale mają sens o tyle, o ile są (będą) wynikiem rzetelnych badań. Inaczej mówiąc, dotychczas obowiązujący regulamin rady jest zlepkiem instrukcji dotyczących: 1) zadań rady jako rady, pomieszczonej z zadaniami właściwymi dla innych podmiotów społeczności szkolnej, 2) obowiązków przewodniczącego rady zmieszanych z zadaniami zwierzchnika i, 3) obowiązków nauczycieli jako członków rady zestawionych z obowiązkami nauczycieli jako podwładnych.

Myślę, że ta skrócona analiza regulaminu rady wyjaśnia przynajmniej częściowo obiegową — złą opinię o radzie, a w szczególności fakty niewłaściwego traktowania jej przez nauczycieli i dyrektorów.

Nim wyjaśnię swoje rozumienie rady jako zespołu sprawującego funkcje kierownicze na miarę jej odpowiedzialności, chcę jeszcze zwrócić uwagę na dwie kuriozalne rzeczy zawarte w zarządzeniu dot. kierowania szkołą przez dyrektora we współdziałaniu z radą pedagogiczną, które określam jako: 1) dwulicowość z mocy prawa i, 2) zły mit o jednoosobowym kierownictwie i jednoosobowej odpowiedzialności.

Dwulicowość dyrektora jest zaprogramowana przez rozdzielenie oraz inne sprecyzowanie analogicznych i tych samych ze względu na cel obowiązków — dyrektora jako przewodniczącego rady i jako zwierzchnika. Mianowicie p. 1 i 3 (par. 11 regulaminu rady) zobowiązują dyrektora do tworzenia atmosfery życzliwości, dbania o autorytet rady oraz ochrony praw i godności nauczyciela. Zaś analogiczny p. 2 zadań dyrektora (par. 1 us., 2 zadań dyrektora w kierowaniu szkołą) zobowiązuje go jedynie do kształtowania atmosfery sprzyjającej dobrej pracy uczniów, nauczycieli i innych pracowników. Abstrahując od semantycznych i logicznych różnic występujących między porównywanymi sformułowaniami, jeżeli weźmie się pod uwagę to, że dyrektor — przewodniczący realizuje swoje obowiązki „zgodnie z rocznym planem pracy szkoły” oraz, że „rada obraduje na zebraniach plenarnych...”, to można zrozumieć, dlaczego dyrektor jest inny na scenie (podczas konferencji), niż na rusztowaniu (na co dzień).

ECHO KULTU JEDNOSTKI

Czyli zasada jednoosobowego kierownictwa i jednoosobowej odpowiedzialności dyrektora szkoły, leżąca u podstaw przyjętego w oświacie systemu zarządzania, ma wszelkie cechy złego mitu. W szkołach zasada ta nie ma sensu przynajmniej w odniesieniu do działalności podstawowej. Jej pierwszy i drugi człon mogą się sprawdzić całkowicie w układzie np. kierowca — pojazd, a częściowo w systemach kształcenia indywidualnego oraz w relacjach np.: nauczyciel — klasa szkolna skupiająca odpowiednio wyselekcjonowanych uczniów w wieku do lat 17; dyrektor — czynności wykonywane przez niego bezpośrednio itd.

W dziedzinie spraw dydaktyczno-wychowawczych i opiekuńczych zasada ta miałaby zastosowanie, gdyby nauczyciele byli robotami zaprogramowanymi i zasilanimi przez dyrektora, przy założeniu, że nauczyciele-roboty mają produkować uczniów-robotów.

Myślę, że tylko dzięki względnie wysokiej kulturze oraz świadomości pracowników oświaty nie doszło do większych spustoszeń w sferze etyczno-moralnej pedagogów oraz do zupełnego obniżenia



Fot. M. Suchecki

piływ informacji i inne), sprawność funkcjonowania organów oświatowych oraz atmosfera pracy szkół.

Zaniepokoiły i zainteresowały mnie problemy, których podczas spotkania nie poruszono, a które w decydujący sposób wpływają na bieżące i przyszłe funkcjonowanie szkół oraz na pozycję nauczyciela.

Obawiam się, czy przez zmianę przepisów bez wymiany ludzi można będzie wprowadzić i obronić demokrację. Minister zapowiedział konkursy na stanowiska dyrektorów. Nie wspominał natomiast o potrzebie zmian na stanowiskach pracowników nadzoru (inspektorów, kuratorów i innych). Jeżeli oni są tacy świetni, to dlaczego jest tak źle w oświacie? Czyżby wszystko miało zależeć od dyrektorów? Wątpię, czy kurator (inspektor — czystej wody autokrata — wychowa lub tylko wylansuje, dyrektora demokrate? A może pracownicy nadzoru nie muszą być wychowawcami?

WSZYSTKO O NAS BEZ NAS

Chwała zespołowi redakcyjnemu „Głosu”, że dostrzegł problem niedoinformowania nauczycieli w dziedzinie oświatowego prawa, że go na swój sposób rozwiązuje, wreszcie — że postulował bliższe przyjrzenie się obiegowi informacji w celu jego usprawnienia. Chwała ministrowi za to, że zgodził się odpowiadać na pytania czytelników.

Obieg informacji w oświacie wygląda mniej więcej tak: MEN przekazuje wytworzone przez siebie informacje (zarządzenia, wytyczne itd.) w dół — szczebel po szczeblu, z ust do ust oraz pisemnie. Część z

Myślę że składa się na to wiele przyczyn obiektywnych i subiektywnych. Wśród nich dana przez „Głos” gwarancja anonimowości.

Odpowiadanie ministra na pytania czytelników może otworzyć nową kartę w relacjach podwładny — zwierzchnik (i nie tylko). Oby obeszło się bez przykrych konsekwencji dla pytających za to, że naruszają świętą drogę służbową, że w ten sposób postawią swoich bezpośrednich zwierzchników i inne osoby w tzw. głupiej sytuacji.

Zastrzegam się, że wymienione wątpliwości nie dotyczą mojego dyrektora, którego można pytać o wszystko, w każdej chwili i miejscu, w służbie i poza nią, jeżeli nie ze skutkiem natychmiastowym, to ze zwłoką możliwie najkrótszą i uzasadnioną materią sprawy.

Wątpię, czy obecnie funkcjonujący system obiegu informacji wzorowany na mechanice klasycznej, dopasowany do hierarchicznej struktury władzy i dyrektywnego zarządzania, można usprawnić bez zmiany sposobu stanowienia prawa. Obecna (i poprzednia) praktyka stanowienia oświatowych regulacji, delikatnie mówiąc, jest niedemokratyczna. Zastrzeżona jest bowiem dla elity specjalistów i nie uwzględnia szerszej konsultacji społecznej. W szczególności sami adresaci nie są angażowani w proces kreacji prawa.

Nawet przy „okrągłym stole” nie postępowano inaczej. Sam minister w tej kwestii wypowiada się tak: „...Ministerstwo postanowiło w maju br. na naradzie kuratorów omówić zasady funkcjonowania rad pedagogicznych i status dyrektora szkoły, a następnie w sierpniu br. dokonać zmian

nej, wychowawczej, opiekuńczej i organizacyjnej szkoły. Jest też napisane, że „rada — w ramach określonych kompetencji — jest kolegialnym organem kierowania szkołą”. Nauczyciele (a także część dyrektorów) rozumieją radę jako gremium uczestniczące w konferencjach rady i ograniczają jej działalność zwykle do tego aktu zgodnie z par. 6 p. 1 regulaminu rady mówiącym, iż wykonuje swoje zadania zgodnie z rocznym planem pracy szkoły oraz, że rada obraduje (podkr. moje K.W.) na zebraniach plenarnych lub w powoływanych przez siebie komisjach. Inni rozciągają czas pracy rady na cały rok szkolny i rozszerzają jej obszar działania na teren pozaszkolny.

W rozmowach nieoficjalnych nauczyciele określają radę mniej więcej tak: scena, rewia, nasiadówka, młócenie słomy, strata czasu, nadawanie, pyskówka. Zaś dyrektorzy o swoich podwładnych — członkach rady wyrażają się: jako o owcach Panurga, ludziach biernych bądź gadatliwych, skłonnych do chocholego tańca itp. Natomiast o radzie jako zespole jedni mówią, że jest to instrument w kierowaniu szkołą — w charakterze kuli u nogi albo równoważnościowego partnera inni uważają radę za twór bez znaczenia.

Osobiście rozumiem radę pedagogiczną jako zespół ludzi — autonomiczny i kierowniczy — funkcjonujący na miarę swojej odpowiedzialności. Autonomiczny, tzn. możliwie niezależny w treściach i formach działania od podmiotów zewnętrznych, przede wszystkim od organów władzy łącznie z dyrektorem (występującym w charakterze zwierzchnika), działający według



WITOLD SALANSKI

JAKA TO BĘDZIE RZĘKA?



Fot. Jerzy Krasniewski

Co zrobić, aby edukacja młodych Polaków nie kończyła się na zasadniczej szkole zawodowej, słowem jak upowszechnić średnie wykształcenie zawodowe? Jak zachęcić nauczycieli do udziału w pracach nad nowymi programami przedmiotów zawodowych? Problem podręczników. Jak poprawić warunki praktycznej nauki zawodu? Współpraca szkół z zakładami pracy. Kwestia dostosowywania się systemu szkół zawodowych do procesu restrukturyzacji gospodarki narodowej. Współpraca szkół zawodowych ze środowiskiem. Co przeszkadza w usamodzielnianiu się szkół, dyrektorów i nauczycieli? Co wynika z przekazywania szkół zawodowych pod zarząd rad narodowych pierwszego stopnia? Jakże zmiany powinno się przeprowadzić w obecnym systemie prawnym dotyczącym szkolnictwa zawodowego? Oto pytania i propozycje „nie do odrzucenia”, aktualne od co najmniej 20 lat, przedłożone przez dyrektora departamentu Jeremiasza Salwę.

O większości tych spraw pisaliśmy na łamach „Głosu” wielokrotnie. Narada wicekuratorów odpowiedzialnych za szkolnictwo zawodowe, którzy tym razem spotkali się w Rochnie koło Brzezin w końcu czerwca br., na pierwszy rzut oka nie różniła się od wielu tego typu organizowanych w przeszłości. Czy zatem warto było jechać na naradę? Wszak nie usłyszałem tam „nic nowego pod słońcem”. Okazało się, że warto, ponieważ — jak to bywa na tego rodzaju spotkaniach kameralnych — nie mniejszą wartość poznawczą, niż obrady oficjalne, mają rozmowy kularowe, w których odbija się prawdziwy nastrój środowiska, wolny od wszelkiej dyplomacji i kurtuazji.

W Rochnie łatwo było dostrzec dwa nurty sporów i dyskusji. Oficjalnie rozprawiano o tym, jak zreformować szkolnictwo zawodowe, co zmienić, aby było lepsze. Czyli było to owe „nic nowego” gdyż od lat debatuje się o tym samym. Już tylko to świadczy o permanentnym kryzysie szkoły zawodowej, ponieważ w jej reformowaniu nie wychylamy się, jak na razie, poza sferę planowania.

Drugi nurt — podskórny, ale od czasu do czasu przenikający do oficjalnych wystąpień — był znacznie ciekawszy. Co więc myśla naprawdę wicekuratorzy o sytuacji szkolnictwa zawodowego w Polsce?

Wszelkich reformatorów, optymistów i entuzjastów sprowadził na ziemię już pierwszy dyskutant — wicekurator z Koszalina. Postulat upowszechnienia wykształcenia i średniego może wychodził na-

przeciw potrzebom uczniów i rodziców — stwierdził — ale jest całkowicie utopijny, bowiem nie liczy się z realiami gospodarki narodowej.

Teza pracownika kuratorium koszańskiego jest logiczna: skoro państwo przeżywa głęboki kryzys ekonomiczny, to siłą rzeczy przeżywa go także szkolnictwo zawodowe. Przedsiębiorstwa i zakłady pracy — co jest nieodłączną cechą kryzysu — nie są bowiem zainteresowane w pozyskiwaniu absolwentów szkół zawodowych. Jeśli nawet istnieje obecnie jakiś rynek pracy, to jest on niestabilizowany, chwiejny, kapryśny. Jak w takich warunkach można planować kształt przyszłego szkolnictwa zawodowego?

Poza tym upowszechnienie średniego wykształcenia zawodowego musiałoby się łączyć z rozwojem bazy materialnej. A jeszcze 10 lat temu ponoć kursowała po Polsce „poufna” instrukcja byłego resortu oświaty i wychowania (informację podaje za wicekuratorem koszańskim), aby nie inwestować w rozwój szkolnictwa zawodowego. Dziś zbieramy te owoce. Zresztą, jak sądzę, była ona zbyt techniczna, ponieważ życie zmuszało do inwestowania niemal wyłącznie w szkolnictwo podstawowe.

Dzisiaj, gdy wyżył demograficzny przeto-czył się przez szkoły podstawowe, sytuacja lokalowa placówek zawodowych staje się tragiczna. Jak już zasygnalizowano z wielu województw, do tych samych budynków będzie uczęszczało średnio 50–60 proc. uczniów więcej niż przed pięcioma laty. Brak też internatów, burs. — Gdybyśmy jednak znaleźli jakieś pomieszczenia — mówi wicekurator koszański — to kogo mielibyśmy w nich kształcić, skoro zatrudnienie spada niemal we wszystkich zawodach.

Władze oświatowe województwa koszańskiego mają też swój lokalny problem: brak szkół zawodowych dla dziewcząt. Chciałoby się założyć placówki na przykład o profilu dziewiarsko-krawieckim, ale byłoby to niemoralne z tej prostej przyczyny, że na Pomorzu Zachodnim brakuje odpowiednich zakładów pracy, w których absolwenci mogliby znaleźć zatrudnienie.

Gdybyśmy nawet mieli jasną wizję kształtu przyszłego szkolnictwa zawodowego — mówili kolejni dyskutanci — to pozostaje bolesny i napięty problem kadr nauczycielskich. Prognozy są tutaj czarne, kasandryczne. Niektórzy mówcy nawet twierdzili, że jeśli nie zostaną odwrócone niekorzystne trendy, to za kilka lat nastąpi krach oświatowy z powodu

braku pedagogów. Już dzisiaj wielu nauczycieli przedmiotów zawodowych i nauk zawodu opuszcza szkoły, bo oto zapaliło się w Polsce zielone światło dla ludzi przedsiębiorczych. Po wprowadzeniu nowych, liberalnych przepisów o działalności gospodarczej, wielu pedagogów zdecydowało się założyć własne firmy i w ten sposób skończyć z klepaniem błędy nauczycielskiej.

Jak szerokie jest to zjawisko — trudno w tej chwili ocenić. Wicekurator warszawski podał przykład z własnego podwórka. Aż 1400 nauczycieli szkół zawodowych zgłosiło w tym roku chęć zmiany zawodu. Na ich miejsce na raz ma przyjść tylko 300 osób. — My tu dyskutujemy o reformach — powiedział przedstawiciel województwa stołecznego — a za kilka lat trzeba będzie zamykać szkoły. Zariów nie ma. Sprawa jest najwyższej wagi państwowej. Jeśli w najbliższym czasie nie rozpatrzy jej rząd, Sejm, to nastąpi katastrofa.

Zatem żyjemy w czasach, w których nikt nie kocha oświaty. Nie kocha jej naród, bo im wyższe wykształcenie, tym niższe zarobki. Nie kochają jej zakłady pracy, bo są im niepotrzebne. Smutne, że firmy, które ongiś słyneły z łez na szkolnictwo, obecnie likwidują nawet własne szkoły przyzakładowe. Ostatnio dołączyły do nich tak znane przedsiębiorstwa, jak Huta „Warszawa”, Polskie Zakłady Optyczne czy „Kablobeton”.

Jeśli istnieje jakaś współpraca szkół z zakładami pracy — mówiono na konferencji — to tylko dlatego, że szkoły potrzebują jej wyegzekwować. Na ogół naciski placówek oświatowych na przedsiębiorstwa są nieskuteczne. Co możemy zrobić? — pytał wicekurator z Warszawy. — Zagrozić, że nie damy fachowców? Niestety, musimy dać, bo to są nasi wychowankowie, których trzeba gdzieś ulokować.

W tej sytuacji dyskusja na tak „wzniośle” i „subtelne” tematy, jak system doskonalenia zawodowego nauczycieli, sprawa ich udziału w opracowywaniu nowych programów czy praca z uczniem zdolnym, była zwykłą sztuką dla sztuki. Z kronikarskiego obowiązku dodam więc, że dyskutowano jeszcze nad dodatkami dla kierowników warsztatów i nauczycieli zawodu, wszak pełnią oni dwie funkcje: nauczycieli i producentów zobowiązanych do dyscypliny ekonomicznej. Zastanawiano się nawet, czy nie powiązać plac nauczycielskich z wynikami ekonomicznymi warsztatów przyszłych. Zwrócono też uwagę na pewną anomalie. Otóż dodatek za wy-

chowawstwo — obecnie dość wysoki — pobiera nauczyciel w szkole, który opiekuje się uczniami dwa dni w tygodniu. Natomiast nie otrzymuje go opiekun praktyki zawodowej sprawujący pieczę nad młodzieżą przez trzy dni w tygodniu.

Drażliwy temat to również sytuacja nauczycieli dochodzących. Niewiele resortów dba o dobre warunki pracy swoich pracowników oddelegowanych do prowadzenia zajęć w szkołach zawodowych. Jak wyniosłkowalem z dyskusji, w najgorszym położeniu znalazły się bodaj licea medyczne, które w żaden sposób nie mogą pozyskać lekarzy do swoich szkół. Przyczyna jest jedna i prozaiczna: lekarzom to się nie opłaca.

Wreszcie jak bumerang wróciła sprawa decentralizacji zarządzania oświatą. Niektórzy uczestnicy narady nazwali przekazywanie szkół zawodowych radom narodowym I stopnia „zbrodnią”. Ciekawe, że reorganizacja ta przyjęła się tylko w dwóch województwach: skierniewickim i poznańskim. Gdy zapytałem wicekuratora z Poznania o tajemnicę powodzenia reformy zarządzania oświatą w Wielkopolsce i dlaczego, jego zdaniem, nie przyjęła się ona w pozostałych województwach, odpowiedział krótko i rzeczowo: — Bo ludzie nie znają się na prawie budżetowym.

Niemniej jednak wicekuratorzy podawali przykłady negatywne. Oto w Łodzi władze oświatowe pragną zbudować szkołę zawodową, ale lokalna rada narodowa postawiła weto: nam jest potrzebna szkoła, ale tylko podstawowa. W Otwocku miejsca władza zrobiła zamach na jedyne w Polsce sławne Technikum Nukleoniczne wychodząc z założenia, że miastu bardziej przydałaby się szkoła gastronomiczna. Rady narodowe bronią się przed finansowaniem placówek oświatowych o zasięgu większym, ponadregionalnym. Nie są skłonne też budować internatów dla przyszłych z innych miast i województw. Wąski partykularyzm — oto główny wróg reformy zarządzania oświatą.

Na zakończenie nie mogę nie podzielić się z Czytelnikami refleksją ogólniejszą. Panowie wicekuratorzy z pewnością starali się zachować zimną krew, spokój i opamiętanie. Ale przecież — jak wszyscy — czuli niepokój. Tak się teraz w Polsce wszystko zmienia. Jaki będzie nasz kraj za dwa miesiące? Do jakiej rzeki wejdziesz pierwszego września? Jeśli przeobrażenia będą się dokonywały w takim samym tempie jak obecnie, to z pewnością będzie to inny kraj i inna rzeka. Tylko jaka?

CZYTELNICY MAJĄ GŁOS

INTERNAT DRUGIM DOMEM

Mało się mówi i pisze o internatach. Gdy rozpocząłem pracę w internacie przy Zespole Szkół Zawodowych nr 2 we Wrocławiu stwierdziłem, że młodzi są bardzo uzdolnieni: muzycznie i artystycznie. A przecież wybrali zawód mechanika samochodowego.

Dyrektor, Tadeusz Zalewski, zakupił organy elektryczne, przekazał kompletną perkusję, 4 gitary, aparaturę nagłaśniającą, 2 akordeony, 2 mikrofony i nowy wzmacniacz. Sprzęt w krótkim czasie „zaowocował”. Powstało kółko muzyczne i kabaret „Skauci”. W marcu kółko przekształciło się w drużynę harcerską. Oha to pragnie posiadać m. in. zastęp muzyczny, satyryczny a także kwatremistrzowski.

Młodzieżowa Rada Internatu dba o kółko. Zorganizowała tradycyjne „Andrzejki”.

później choinkę dla dzieci pracowników Technikum Samochodowego. Kierownik internatu, Marian Hajduk i jego zastępczyni do spraw pedagogicznych, Barbara Wrzeszcz, zadbał o warunki pracy kółka i doceniają jego działalność.

Na wyróżnienie zasługuje m. in. Sławomir Pieprzyk, który potrafił cześć aparatury naprawić i uruchomić, sam gra na gitarze solowej i śpiewa. Do aktywnych należą: Kamil Nowak, Piotr Kuriat, Jan Opocki, Arkadiusz Rejda, Bogdan Czerep.

Robert Chrobak i Piotr Kowalezyk. W czasach współczesnych jest to sukces pedagogiczny.

Na uwagę zasługuje wystrój stołówki wykonany pod nadzorem Barbary Wrzeszcz. Polepszyła się też jakość pożywienia i kultury konsumpcji.

Ciekawie rozwija się działalność sekcji sportowej pod patronatem Zbigniewa Klimowskiego i Andrzeja Kapelińskiego. Odbył się turniej tenisa stołowego, w planie jest turniej piłki nożnej w hali.

Przełomem w życiu mieszkańców stało się opracowanie nowego regulaminu internatu, odzwierciedlającego faktyczne dążenia młodzieży i cele dydaktyczno-wychowawcze. Wszystko to sprawia, że młodzież uważa internat za swój drugi dom.

STEFAN KRAWCZYK
Wrocław

NIE TAK

Nauczanie programowania komputerów i budowy systemów przetwarzania danych realizowane jest w naszym kraju od przeszło 25 lat. Początkowo zagadnienia te były prezentowane na wydziałach matematycznych uniwersytetów, niektórych wydziałach uczelni technicznych i ekonomicznych, a także w specjalistycznych szkołach pomaturalnych. Wraz z rozwojem sprzętu komputerowego, jego oprogramowania i rozwojem zakresu zastosowań, zagadnienia informatyki zostały wprowadzone do programu nauczania większości szkół wyższych oraz niektórych szkół średnich. W wyniku rewolucji mikrokomputerowej zajęcia z tego przedmiotu realizowane są obecnie również w liceach ogólnokształcących.

Jako pracownik naukowo-dydaktyczny Akademii Ekonomicznej we Wrocławiu prowadzę zajęcia m.in. z podstaw informatyki, na których większość studentów styka się z zagadnieniami tej dyscypliny naukowej po raz pierwszy. Niektórzy z nich przyznają, że w szkole średniej mieli informatykę jako przedmiot uzupełniający, jednak nauczano ich tam bardzo niewiele lub zajęcia były prowadzone na żenująco niskim poziomie.

Program liceów ogólnokształcących w zakresie elementów informatyki został opracowany w roku 1985 i zatwierdzony do realizacji od roku szkolnego 1986/87. Przedmiot prowadzony jest przez cały rok w wymiarze 75 godzin i ma charakter uzupełniający tzn. kończy się zaliczeniem, a nie wystawieniem ocen. Tutaj moim zdaniem popełniono pierwszy błąd. Otóż lekcje, na których nauczyciel nie ma możliwości egzekwowania materiału, oceniania, są traktowane przez uczniów niepoważnie. Normalnym zjawiskiem jest zatem brak dyscypliny, odrabianie innych lekcji lub ucznia się innych przedmiotów podczas zajęć. Kolejnym błędem, który można by zapisać na konto władz oświatowych, było rozpoczęcie nauczania przedmiotu, do którego brak jest podręczników oraz odpowiedniego sprzętu. Wydany w roku 1977 podręcznik dla klas III LO z informatyki obecnie nie nadaje się już do użytku. Ukazało się co prawda wiele wartościowych z dydaktycznego punktu widzenia prac z zakresu podstawowej wiedzy o sprzęcie mikrokomputerowym i jego oprogramowaniu, ale te najlepsze błyskawicznie znikają z półek księgarskich i są bardzo drogie. Poza tym nie są one pisane w konwencji podręcznika szkolnego i w rezultacie uczniowie musieliby korzystać z co najmniej kilku książek. Dobrze opracowany podręcznik powinien dać nauczycielowi możliwość zadania na każdą lekcję odpowiedniej partii materiału do nauczania się w domu, zawierać do każdego tematu odpowiednią liczbę przykładów i zadań do rozwiązania.

Jednak nawet najlepsze chęci autorów podręczników czy nauczycieli spełzną na niczym, jeżeli nie będzie stworzona odpowiednia sytuacja motywacyjna do uczenia się. Stąd kardynalnym postulatem wobec władz oświatowych jest zmiana charakteru przedmiotu z uzupełniającego na obowiązkowy, prowadzenia go tylko na kierunkach ścisłych i przy spełnieniu pewnych istotnych warunków. Jak zatem ja to widzę?

Po pierwsze — przedmiotu „Elementy informatyki” należałoby uczyć wyłącznie w klasach wyższych o profilu ścisłym. W środowisku oświatowym panuje przekonanie, że informatyką z uwagi na jej atrakcyjność interesuje się prawie cała młodzież. Otóż z moich obserwacji wynika, że absolutnie nie! Poziom cywilizacyjny naszego kraju i brak wyraźnych perspektyw życiowych nie stwarzają jeszcze takich zachęt. Komputery są u nas bradzo drogie i nic nie wskazuje na to, aby mogły stać się szeroko dostępne poza pracownią szkolną, uczelnianą czy zakładem pracy. Młodzież w niższych klasach interesują prawie wyłącznie gry komputerowe. Nie ma ona jeszcze sprecyzowanych zamierzeń zawodowych. Poza tym zewnętrzna atrakcyjność informatyki jest dla niej złudna. Przy próbie poruszenia bardziej szczegółowych zagadnień napotyka się tutaj szybko na niechęć, duże opory i trudności. Z kolei uczniowie klas o profilu humanistycznym czy biologicznym zupełnie nie są zainteresowani tym przedmiotem, dla większości z nich lekcje są czasem zmarnowanym. Dla uczniów z takich klas, zainteresowanych techniką komputerową i zagadnieniami przetwarzania danych, można zorganizować zajęcia w kółkach informatycznych.

Po drugie — należy opracować dobrza-

przeemyślany program nauczania. W obecnej postaci jest on, moim zdaniem, dyskusyjny. Zasadniczy nacisk położono w nim na naukę programowania mikrokomputerów posiadanych przez szkołę. Takie wprowadzenie do informatyki przypomina wprowadzenie do zagadnień motoryzacji przy wykorzystaniu rowerów. W obecnie obowiązującym programie orientacyjny przydział godzin jest następujący: obsługa mikrokomputerów 2 godziny (3 proc.); praktyczne zastosowanie mikrokomputera 6 godzin (8 proc.); tworzenie rysunków na ekranie 4 godziny (5 proc.); procedury 12 godzin (16 proc.); styl programowania 12 godzin (16 proc.); nieelementarne metody grafiki 12 godzin (16 proc.); działania na tekstach 12 godzin (16 proc.); ćwiczenia samodzielne 15 godzin (20 proc.). Razem 75 godzin (100 proc.).

Nie rosząc sobie prawa do narzucania konkretnych rozwiązań, proponowałbym rozważenie, czy nie byłoby lepiej przedstawiać najpierw dorobek świata w zakresie teorii informatyki, sprzętu komputerowego i oprogramowania, niż użyć wyważania otwartych drzwi przy pomocy prymitywnych narzędzi w rodzaju Basic i ZX-Spectrum? Dopiero po takim wstępie można przystąpić do nauki programowania w wybranym języku. Kwestię, czy robić to jeszcze w szkołach ogólnokształcących, czy już w szkołach specjalistycznych albo wyższych — pozostawiam otwartą.

Po trzecie — należy wyposażyć szkoły w odpowiedni sprzęt komputerowy. Sytuacja w tym zakresie pozostawia bardzo wiele do życzenia. Liceum, w którym prowadzę zajęcia posiada pracownię informatyczną wyposażoną do niedawna w 5 mikrokomputerów ZX-S ZX-Spectrum (starszy typ). Z tego czynne były z reguły tylko dwa. Reszty nie można było używać z powodu fatalnej jakości przewodów łączących i psujących się klawiatur. Sprzęt oddany do naprawy nie wracał do szkoły przez kilka miesięcy. Jak w takich warunkach można było prowadzić lekcję z 20-osobową klasą? Osobiście wątpię, czy nowe mikrokomputery Elwro 800 Junior, które otrzymaliśmy, rozwiążą ten problem.

Wcale więc nie dziwi, że efekty nauczania informatyki są znikome lub żadne. Nauczanie podstaw informatyki w uczelniach wyższych odbywa się w odmiennych warunkach. Studentom można polecać nauczanie się praktycznie każdego tematu z podręcznika, w którym jest on najlepiej opracowany lub z kilku książek (taka sytuacja jest nie do pomyślenia w szkole średniej). Programy nauczania studentów można zmieniać, dostosowując je

do zmian zachodzących w nauce i praktyce, co przy rewolucyjnym postępie w informatyce ma szczególne znaczenie. W szkołach średnich raz opracowany podręcznik obowiązuje długie lata, ponieważ ze względu na centralizację programu i masowy charakter nauczania większe modyfikacje powodują duże koszty i zamieszanie.

Nauczanie początków informatyki w szkołach średnich i na kierunkach nieinformatycznych uczelni wyższych jest w zasadzie realizowane podobnie. Uczniowie i studenci zapoznają się z podstawowymi pojęciami, poznają ogólnie budowę i sposób działania prostego mikrokomputera oraz uczą się jego programowania w języku Basic lub Logo. W obydwu przypadkach cykl dydaktyczny jest realizowany przez rok. Powstaje więc pytanie, czy rozsądne jest powtarzanie tego samego materiału po raz drugi w szkole wyższej?, czy nie lepiej kontynuować nauczanie informatyki przyjmując za punkt wyjścia poziom osiągnięty już poziom, jak to ma miejsce w przedmiotach ścisłych czy nauce języków obcych? W świetle przedstawionej sytuacji — nauczanie informatyki od podstaw w szkole wyższej na razie ma sens, ponieważ najczęściej wiedza studentów z tego zakresu uzyskana w szkole średniej jest bardzo niewielka lub żadna. Wysiłek włożony w realizację przedmiotu „Elementy informatyki” w szkole średniej w znacznej mierze jest marnotrawiony z powodu braku możliwości zapewnienia odpowiednich warunków.

Moim zdaniem dobra koncepcja nauczania informatyki w szkole średniej nie jest wcale nierealna. Należy jednakże zapewnić sprzyjające warunki. Prawidłowe nauczanie podstaw informatyki w szkole średniej stworzyłoby na uczelniach wyższych całkiem nową sytuację. Studenci dysponowałiby już wiedzą z zakresu elementarnych pojęć, a przynajmniej można by takiego zasobu wiedzy od nich wymagać. Pilnym zadaniem na najbliższą przyszłość jest więc skoordynowanie programów nauczania podstaw informatyki w szkołach średnich i na pierwszych latach studiów, wyeliminowanie dublowania się materiału. W związku z tym rozsądny byłby taki jego podział, aby w szkołach średnich realizować wybrane zagadnienia teoretyczne, które w dłuższych okresach są niezmiennie.

Jak już bowiem wspomniano wprowadzanie częstych zmian w podręcznikach dla szkół średnich jest bardzo kłopotliwe i kosztowne. Również rozwój techniki komputerowej jest tak szybki, że dla zachowania odpowiedniego poziomu nauczania należałoby zmieniać wyposażenie szkolnych pracowni mikrokomputerowych co kilka lat. Natomiast w uczelniach wyższych są znacznie lepsze warunki do prowadzenia zajęć z podstaw informatyki bezpośrednio przy sprzęcie komputerowym. Istnieją tu warunki dla koncentracji sprzętu informatycznego wyższej klasy, studenci są bardziej dojrzałi do samodzielnej pracy z komputerem, mają inną motywację do nauki. Gwarantuję to, że drogie mikrokomputery będą wykorzystane właściwie i efektywnie. Przedmiot „Podstawy informatyki” realizowany w uczelniach wyższych powinien więc kontynuować i rozwijać wiedzę uzyskaną z tego zakresu w szkole średniej.

RYSZARD GRODZIŃSKI

(Autor jest pracownikiem Instytutu Informatyki AE we Wrocławiu, od roku w niepełnym wymiarze godzin zatrudniony jest tu w jednym z wrocławskich liceów, w którym uczy podstaw informatyki).

Fot. M. Suchecki



TRADYCJE NASZEGO ZAWODU

MARIA MONTE- SSORI

Sto lat temu system nauczania wymagał wkuwania na pamięć nie tylko dat, wierszy i wzorów, lecz także tekstów. Opowiadanie własnymi słowami nie było w modzie. System takiego nauczania „na blachę” budził gorący sprzeciw Marii Montessori, uczennicy szkoły w Ankonie we Włoszech. Maria zbuntowała się zdecydowanie przeciw tej formie, pragnęła bowiem zostać nauczycielką, chociaż marzyła również o studiach lekarskich.

W Rzymie zdała maturę i podjęła próbę zapisania się na wydział medycyny rzymskiego uniwersytetu. Odmówiono jej prośbie. Medycyny kobietom nie wolno było studiować. Upór i konsekwencja pozwoliły jej przełamać i tę przeszkodę: została studentką medycyny. Zaraz jednak pojawiła się nowa trudność. Władze uniwersyteckie zabroniły jej udziału w obecności profesora i studentów w sekcji zwłok... A przecież były to ćwiczenia niezbędne. Maria postanowiła przeprowadzać je samotnie, w nocy. Wszystkie te kłopoty, pieczętujące się przeszkody, doprowadzały kilkakrotnie dzielną studentkę do granic rezygnacji. Udało się jej jednak zapanować nad sobą, ukończyć studia i rozpocząć pracę pierwszej włoskiej lekarki.

Pracując jako asystentka w klinice psychiatrycznej przeprowadzała inspekcje schronisk rzymskich dla biedoty. Konsekwencją tej pracy było założenie szkoły specjalnej dla niedorozwiniętych dzieci, które mogły być jeszcze leczone. Po dwóch latach osiągnęła sukces. Dzieci z tej szkoły lepiej pozdawały egzaminy, niż dzieci w zwykłych szkołach.

Od początku swej działalności realizowała swe dziecięce pragnienie. „Będę inną nauczycielką”. Sukces szkoły specjalnej zachęcił ją do próby sił w szkole powszechnej. Przedtem jednak podjęła studia na uniwersytecie, na wydziale filozoficznym. Równocześnie wizytowała szkoły i utwierdziła się w przekonaniu, że metody w nich stosowane nie mogą dać pożytecznych wyników. Powierzono Marii stanowisko kierowniczką nowo zbudowanego w Rzymie domu dziecka. Długie lata pracy i doświadczeń doprowadziły ją do metody zwanej odąd metodą Montessori.

Powstawało coraz więcej placówek na wzór jej szkoły. Odbywały się konferencje międzynarodowe analizujące jej system. Powstawały towarzystwa imienia Montessori. Nauczycieli kształcono według jej zasady, by potem umieli ją stosować wobec wychowywanych przez siebie dzieci.

Rozwój faszyzmu we Włoszech i prześladowania zmusiły Marię Montessori do opuszczenia kraju. Wyjechała do Hiszpanii, potem do Wielkiej Brytanii i Indii, na prośbę Ghandiego, który stworzył ośrodek jej imienia. I wszędzie prowadziła akcję wychowawczą.

Po zakończeniu drugiej wojny światowej nadal pracowała nad unowocześnieniem systemu nauczania w wielu krajach świata. Zmarła w 1952 roku w Noordijk w Holandii, gdzie osiedliła się jej rodzina. Za swoją działalność otrzymała liczne tytuły doktora honoris causa.

Na czym polega metoda Marii Montessori? Otóż punktem wyjścia było nie pamięciowe opanowywanie tekstu, czyli wkuwanie, lecz psychika uczącego się dziecka. Nauczyciel musi rozwinąć w swym uczniu karność i porządek nie poprzez nakazy, ale przez autodyscyplinę ucznia. Dziecko wielokrotnie samo stwarza materiał, za pomocą którego kształci się. Nauczanie jest żywe, personalistyczne. Daje wspaniałe rezultaty. Rozwija umysł, hartuje wolę, rozbudza wyobraźnię, uaktywnia uczucia. Cała osobowość dziecka jest zaangażowana w procesie uczenia się.

BOGDAN NOWAK
Szczecin

KOSZTY PRZEJAZDU, ZAKWATEROWANIA I WYŻYWIENIA NAUCZYCIELI STUDIujących

W „Głosie” nr 25 (18 VI 1989 r.) przeczytałam wyjaśnienia dotyczące wysokości diet i ryczałtów przysługujących nauczycielom studiującym. Z odpowiedzi wynika, że nauczycielom tym przysługują z racji wyjazdu na egzamin lub zajęcia takie same uprawnienia, jak przy wyjazdach służbowych. Moją instytucją zwierzchnią jest Kuratorium Oświaty i Wychowania w Legnicy. Księgowa wyjaśniła mi, że nauczyciele studiujących obowiązują inne zasady rozliczania delegacji niż przy wyjazdach służbowych i twierdzi, że te zasady, o których jest mowa w „Głosie” dotyczą delegacji służbowych. Natomiast nauczyciele studiujący rozliczani są wg uchwały nr 179 Rady Ministrów i dieta dzienna wg tej ustawy dla nauczycieli studiujących wynosi 388 zł, a ryczałt za nocleg — 210 zł.

Bardzo proszę o jednocześnie wyjaśnienie, czy rzeczywiście delegacje służbowe są inaczej rozliczane niż delegacje nauczycieli studiujących. Zarabiam średnio 53 000 zł, a 15 000 zł z tego średnio pochłaniają moje wyjazdy na uczelnię. (Lidia Paszkiewicz)

Nauczycielom studiującym przysługuje zwrot kosztów przejazdu na obowiązujące zajęcia i egzaminy na zasadach stosowanych przy podróżach służbowych na obszarze kraju (par. 10 uchwały 179 Rady Ministrów). A więc w przypadku przejazdu, zwrot kosztów rozlicza się tak, jak delegację, zgodnie z uchwałą nr 25 Rady Ministrów (Monitor Polski nr 4). Par. 4 tej uchwały określa iż zwrot kosztów przejazdu obejmuje cenę biletu środka transportu (PKS lub PKP), wskazanego przez kierownika zakładu pracy. Uwzględnia się przy tym zwrocie ulgę na PKP. Na wniosek pracownika kierownik zakładu może wyrazić zgodę na przejazd samochodem stanowiącym własność pracownika. W takim przypadku pracownikowi przysługuje zwrot kosztów według stawek określonych w przepisach w sprawie używania pojazdów samochodowych do celów służbowych.

Natomiast zarówno zwrotu kosztów zakwaterowania jak i wyżywienia dokonuje się na podstawie uchwały nr 179 Rady Ministrów regulującej ulgi i świadczenia dla nauczycieli studiujących. I tak:

W czasie obowiązkowych sesji zaocznych studiujący mają prawo do bezpłatnego zakwaterowania i wyżywienia. Świadczenia te zapewnia im organizator kształcenia. W czasie obowiązkowych konsultacji zaś, uprawnieni otrzymują ryczałt na pokrycie kosztów odpłatnego zakwaterowania i wyżywienia. Ryczałt określa minister edukacji na podstawie norm obowiązujących w domach i stołówkach studenckich. Wypłaca go (ryczałt) organ nadzorujący

szkoły, lub dyrektor. Przypomnę, że wynosi on obecnie: nocleg — 210 zł, wyżywienie — 388 zł (w akademiach wychowania fizycznego 408 zł)

WARTOŚĆ WYŻYWIENIA A PODSTAWA WYMIARU EMERYTURY

Inspektor stwierdził, że nie może mi wpisać do podstawy wymiaru emerytury kwoty odpowiadającej wartości wyżywienia, gdyż otrzymał taką instrukcję z ZUS. (B. Ch. Czytelniczka wtorek).

Na szczęście, do redakcji napływa coraz mniej sygnałów o tej nieprawidłowości ZUS. W tej sprawie jest uchwała Sądu Naczelniczego z 16 czerwca 1988 r. (III UZP 18/86). Sąd Najwyższy w składzie 7 sędziów powziął następującą uchwałę i nadał jej moc zasady prawnej. „Wartość wyżywienia otrzymywanego nieodpłatnie (lub częściowo nieodpłatnie) przez nauczyciela zatrudnionego w systemie oświaty i wychowania wlicza się do podstawy wymiaru emerytury i renty, jeśli nauczyciel nie korzysta z tego świadczenia po przejściu na emeryturę lub rentę”.

KARNE UPOMNIENIE A TRZYNASTKA

W ciągu trzech miesięcy w 1988 r. wisiła na moim koncie kara upomnienia. Trzynastkę za ten rok obniżono mi twierdząc, iż są takie zasady, że jeśli pracownik został ukarany — nie może otrzymać pełnej trzynastki. Nie mogę znaleźć podstawy prawnej. (Jarosław O. — woj. lubelskie)

Uznana za niebłąd, kara upomnienia (art. 113 Kodeksu pracy) nie może stanowić podstawy do zmniejszenia trzynastki. Jedynie okoliczności faktyczne, które stanowiły podstawę wymierzenia tej kary, mogą być wzięte pod uwagę przy ocenie nienagannego wykonywania pracy.

TERMIN PRYZNANIA ZASIŁKU WYCHOWAWCZEGO

Po urodzeniu dziecka nie byłam zmuszona do wystąpienia o urlop wychowawczy. Obecnie sytuacja rodzinna na tyle się zmieniła, że poprosiłam o roczny urlop. Dziecko ma 3 lata. Urlop otrzymałam, ale nie przyznano mi zasiłku wychowawczego twierdząc, że przysługuje on tylko tym matkom, które decydują się na urlop wychowawczy tuż po urodzeniu dziecka. Wydaje mi się to nieprawdopodobne. (Ewa Ch. — woj. pilskie).

Zasiłek wychowawczy przysługuje tylko przez 24 miesiące kalendarzowe,

licząc od dnia zakończenia urlopu macierzyńskiego lub przypadającego bezpośrednio po nim urlopu wypoczynkowego (mniej więcej do ukończenia przez dziecko 2,5 lat). Okres ten nie ulega żadnemu przesunięciu lub przedłużeniu (podstawa prawna: rozporządzenie Rady Ministrów z 17 lipca 1981 r. Dz. U. nr 2 z 1985 r. z późniejszymi zmianami).

PONOWNE USTALENIE EMERYTURY

Niestety, nie podałam we wniosku, że poza pracą nauczycielską pracowałam trzy lata w bibliotece. Sądziłam, że skoro odchodzę na emeryturę nauczycielską po 30 latach pracy — nie ma to większego znaczenia. Co mogę teraz zrobić i do kogo się zwrócić. (Barbara K. — Warszawa).

Ma Pani prawo do ponownego ustalenia wysokości emerytury. Prawo to przysługuje także wówczas, gdy decyzje w sprawie przyznania emerytury lub renty uprawomocniły się pod warunkiem wszakże, że zainteresowany przedstawi nowe dowody lub ujawni nowe okoliczności w sprawie. O ponowne ustalenie wysokości emerytury może się Pani zwrócić do rentowego organu wykonawczego ZUS. Jest on władny wydać we własnym zakresie decyzję przyznającą prawo do podwyższonego świadczenia. Decyzja ta podlega zażaleniu przez zainteresowanego do sądu wojewódzkiego, jako organu drugiej instancji, który ponownie oceni sprawę, niezależnie od rozstrzygnięcia w poprzedniej sprawie.

WYJAŚNIENIA:

W numerze 23 „Głosu” informowaliśmy obszernie o treści nowego zarządzenia nr 31 ministra edukacji narodowej z 25 kwietnia 1989 r. w sprawie dodatku mieszkaniowego. Zwróciliśmy tam uwagę naszych Czytelników na skreślenie par. 9 „starego” zarządzenia (nr 28 z 30 czerwca 1988 r.), który traktował o zwrocie kosztów dojazdu do pracy tym nauczycielom, którym organ administracji zapewnił mieszkanie w innej miejscowości, poza siedzibą szkoły, albo tym, którzy mieszkając w innej miejscowości pobierają taki dodatek.

Zapis ten stwierdzał, że zwrot kosztów dojazdu powinien nastąpić w formie zwrotu kosztów miesięcznego biletu kolejowego II klasy lub kosztów biletu autobusowego. Ten zapis już nie obowiązuje.

Czytelnicy pytają: dlaczego resort oden odstąpił i według jakich zasad zwracać koszty dojazdu nauczyciela?

A oto odpowiedź resortu udzielona Zarządowi Oddziału ZNP w Rychtalu, do wiadomości „Głosu”:

„W związku z pismem z dnia 9 czerwca 1989 r. w sprawie udzielania wyjaśnień odnośnie zarządzenia nr 31 MEN z dnia 25 kwietnia 1989 r. zmieniającego zarządzenie w sprawie dodatku mieszkaniowego dla nauczycieli — Ministerstwo uprzejmie informuje, że do uchylenia par. 9 w zarządzeniu nr 28 z dnia 30 czerwca 1988 r. zobligował nas minister sprawiedliwości, który pismem znak P. VI, 472/133/22 z dnia 10 stycznia 1989 r. odmówił rejestracji cyt. zarządzenia, ponieważ znajdujący się w tym zarządzeniu zapis par. 9 wykracza poza ustawową delegację.

Upoważnienie zawarte w art. 54 ust. 5 Karty Nauczyciela (Dz. U. z 1982 r. Nr 3, poz. 19) uprawnia do określenia wysokości dodatku mieszkaniowego dla nauczycieli oraz zasad jego wypłaty. Określenie więc w par. 9 tego aktu zasad zwrotu nauczycielom kosztów dojazdu do pracy i z pracy — przekracza zakres wspomnianego upoważnienia, gdyż zasady korzystania przez nauczycieli z ulg taryfowych przy przejazdach kolejami — jak twierdzi minister sprawiedliwości — reguluje uchwała nr 180 Rady Ministrów z dnia 16 sierpnia 1982 r. (MP Nr 22, poz. 190) oraz uchwała nr 254 Rady Ministrów z dnia 6 grudnia 1982 r. (MP Nr 30, poz. 260).

Wobec tak jednoznacznie zajętego stanowiska, Ministerstwo wyraża pogląd, iż zgodnie z Kartą Nauczyciela w razie braku mieszkań w budynkach szkolnych terenowe organy administracji państwowej stopnia podstawowego obowiązane są do zawierania umów o najem mieszkań dla nauczycieli z właścicielami mieszkań w miejscu ich pracy, a gdy to nie jest możliwe — w innej miejscowości, z której możliwy jest codzienny dojazd do pracy, za zwrotem przez ten organ kosztów dojazdu.

Wszyscy pozostali nauczyciele, którzy nie mieszkają w lokalach wynajętych mają prawo do zwrotu kosztów podróży na zasadach ogólnie obowiązujących.”

ZASIŁEK PIELEGNACYJNY W NOWEJ WYSOKOŚCI

Od 1 lipca 1989 roku zasiłek pielęgnacyjny został podwyższony z kwoty 6600 zł do kwoty 12 000 zł miesięcznie na każdą uprawnioną osobę.

Zmiana wysokości zasiłku pielęgnacyjnego związana jest z podwyższeniem kwoty najniższej emerytury. Zgodnie bowiem z rozporządzeniem Rady Ministrów z 15 czerwca br. w sprawie podwyższenia świadczeń emerytalno-rentowych (Dz. U. nr 38, poz. 208), od 1 lipca br. najniższa emerytura została podwyższona do kwoty 40 000 zł miesięcznie. W związku z tym, że zasiłek pielęgnacyjny stanowi 30 proc. najniższej emerytury — od 1 lipca br. zakłady pracy powinny wypłacać ten zasiłek w wysokości 12 tys. zł miesięcznie.

CD ZE STR. 7

się poziomu i wyników pracy szkół w wyniku funkcjonowania krytykowanego zarządzenia. Otóż znakomita część nauczycieli i dyrektorów zorientowanych w absurdalności tej zasady, po prostu ją ignoruje — działa możliwie samodzielnie na lekcjach i w organizacjach młodzieżowych oraz poczuwa się do odpowiedzialności (przynajmniej moralnej) za to na co ma wpływ bezpośredni i jedyny lub tylko częściowy i pośredni. W szczególności za poziom i wyniki pracy szkół artystycznych odpowiadają nauczyciele.

W sposób najbardziej jaskrawy przedmiotową zasadę podważa Ustawa o bhp z 1965 r., na mocy której każdy pracownik ponosi odpowiedzialność za stosowanie przepisów bezpieczeństwa i higieny pracy na swym stanowisku. Pewien wyłom w tej zasadzie uczynił minister Rozporządzeniem z 9 XI 1988 roku, dopuszczając rodziców do kierowania szkołą w formie opinowania. Oby taki kurs został utrzymany, z zastrzeżeniem pełnej jawności i łączeniem

każdej fazy kierowania z jakąś wymierną formą odpowiedzialności.

Każdy nauczyciel z własnego podwórka może podać wiele szczegółowych argumentów przeciwko jednoosobowemu kierownictwu i jednoosobowej odpowiedzialności dyrektora w odniesieniu do podstawowej działalności szkoły. Natomiast nie każdy dyrektor zrezygnowałby bez żalu z takiego uzbrojenia, dającego możliwość łatwego, bo przedmiotowego traktowania podwładnych stwarzającego jedynowładcy wrazenie ponadludzkiej mocy.

Boję się, że nawet dyrektorzy kreowani w trybie konkursowym mogą zostać przez tę zasadę w krótkim czasie zdemoralizowani tak, że zamiast w rolę Pigmaliона niechętnie wejdą w rolę rabiego Liwy.

NIECH KAŻDY ODPOWIADA ZA TO CO ROBI

Poza zapewnieniem radzie autonomiczności chciałbym, aby rada była traktowana jako kompetentny zespół sprawujący funkcje kierownicze na miarę jej odpowiedzialności. W naszym ustawodawstwie nie ma czegoś takiego, jak odpowiedzialność zbiorowa (i bardzo dobrze!) więc rada jako zespół nie może ponosić odpowiedzialności innej niż moralna. Za to sam proces kierowania szkołą jest bardziej złożony, im więcej skomplikowany jest

przedmiot kierowania. W tym złożonym procesie, rada jako całość, swoją zbiorową mądrością winna grać rolę ekspertów, przygotowujących decyzje, ciała opiniotwórczego, oceniającego, wnioskującego i zatwierdzającego, w następstwie badań przeprowadzanych na miarę jej możliwości — w sprawach o charakterze faktycznym i strategicznym.

Do takich spraw, oprócz całego kompleksu program—podręczniki—metody itd. zaliczam gospodarowanie dobrami ograniczonymi i cenionymi przez nauczycieli. Chodzi mi o dobra stopniowoalne i stymulujące do pracy (widełki, oceny, nagrody, odznaczenia itp. wyróżnienia, a także samo pojęcie dobra i sukcesu). Wyobrażam sobie, że rada jako zespół mogłaby opracowywać regulaminy dysponowania takimi dobrami, których najważniejszym elementem byłoby kryteria ich przyznawania. Mówiąc o ocenach, mam na myśli zarówno okresową ocenę pracy, jak i ocenę poszczególnych jej elementów — głównie lekcji itp. czynności. Mniemam, że opracowane kryteria — modele, same w sobie, byłyby dla dyrektora czymś w rodzaju sita czy sortownika, a dla nauczyciela — normą i celem. Świadomie używam pojęcia „regulamin”, gdyż same kryteria nie wystarczą do tego, aby dysponowanie ograniczonymi i atrakcyjnymi dobrami było dla wszystkich zrozumiałe i sprawiedli-

we. Ważne bowiem są tu: sam sposób, warunki, czas i inne okoliczności stosowania kryteriów, które łącznie z nimi stanowią regulamin.

Dyrektor mając w garści takie narzędzia, mógłby egzekwować indywidualną odpowiedzialność nauczycieli za ich działalność podstawową, nawet w sytuacji kooperacji negatywnej. Wtedy dyrektor będzie w pozycji korzystniejszej w tym sensie, w jakim skuteczne jest zwalczanie przeciwnika jego własną bronią.

Władza dyrektorska winna być silna, ale musi też być kontrolowana i oceniana. W tym procesie kluczową rolę powinna odgrywać rada pedagogiczna, np. w formie okresowego wotum zaufania (nieufności), wyrażanego w wyniku tajnego głosowania i wiążącego dla organu.

Nie podaję szczegółów proponowanych zmian, ponieważ jako szeregowy nauczyciel-wyrobnik nie mam na to czasu i nie jestem dość kompetentny. Chciałem przede wszystkim, na swój sposób, wyrazić wątpliwości dotyczące — jak mi się wydaje — istotnych spraw oświaty w nadziei, że minister oraz armia jego demiurgów i drabantów zechcą spoglądać na przeciętnego nauczyciela, nie tylko jak na Golema, ale także (przynajmniej czasami) jak na Galateę.

KAZIMIERZ WAŃTUCH
Kraków

SPOTKANIE UCZESTNIKÓW TON

W Szkole Podstawowej w Więckowie (woj. siedleckie) odbyło się spotkanie uczestników kompletu tajnego nauczania i miejscowych kombatanów z młodzieżą i Radą Pedagogiczną.

Henryka Piwońska, dyrektor szkoły, nawiązała do ważnych rocznic, a w szczególności do 50 rocznicy wojny obronnej w 1939 r. Uczeń kompletu tajnego nauczania, mgr Henryk Kujda (obecnie nauczyciel tej szkoły), opowiedział o przebiegu nauki w okresie okupacji, a następnie w pierwszych latach po wyzwoleniu.

Obecny na spotkaniu, prowadzący komplet tajnego nauczania w tej wsi, mjr rez. Stanisław Paciorek, podzielił się wspomnieniami z pracy na tajnym komplecie. Tajne nauczanie w tej wsi prowadzili: nauczyciel Bronisław Kozuń w latach 1941-43 trzy komplety składające się z 17 uczniów kl. V i VI. Stanisław Paciorek jeden komplet w latach 1943/44 składający się z 12 uczniów kl. VI. Wspominał patriotyczną postawę i solidarność mieszkańców całej wsi w tym okresie. A więc pomoc dla jeńców radzieckich, którym udało się zbiec z obozu w Dęblinie, oraz dla Polaków, uciekinierów z Pomorza i walczącej Warszawy. Szczególnie w tej działalności zasłużyły się rodziny: Kazimierza Kozunia, Bolesława Kowalczyka, Kazimiery Nagodowskiej, Jana Popisa i Andrzeja Wałęka. Jan Żyłka, Piotr Żyłka i jego siostra Kazimie-

ra oraz Stanisław Filiks i Tadeusz Bochenek z narażeniem życia dostarczali żywność głodującej Warszawie. Przypomnieli nazwiska tych, co oddali życie za Polskę w walce z okupantem hitlerowskim, m. in. Stanisława Piotrowskiego, Bolesława Lechniaka, Eugeniusza Gugała i Władysława Osko z Piotrkowa, Piotra Sadownika, Bolesława Adamca, Kazimierza Stępińskiego, Wacława Mikuska, Jana Nogadowskiego ps. „Dusza” z Więckowa — łącznie 13 osób.

Kombatan, Stefan Krzyżanowski i Sebastian Zaczek mówili o walkach 15 pp w wojnie obronnej 1939 r. a Józef Urban i Władysław Jasiński podzielił się wspomnieniami z walk nad Odrą i Nysą w kwietniu 1945 r.

Kazimiera Nagdowska i sekretarz ZG ZBoWiD, Helena Wiśniewska, mówiły o swej pracy w Wojskowej Służbie Kobiet AK, więzień Majdanka, Tadeusz Nagadowski wspominał kolportaż tajnej prasy i genialną przeżytkę w obozie.

Spotkanie było starannie przygotowane przez dyrekcję szkoły. Młodzież szkolna (harcerze) pod kierunkiem młodych nauczycieli przygotowali piękną część artystyczną, nawiązującą do okresu okupacji i walk LWP. Najlepszymi 10 uczniów Szkoły otrzymało pamiątkowe apaszki. Uroczyste spotkanie uczestników kompletu tajnego nauczania i kombatanów w Więckowie na długo zostanie w pamięci jej uczestników.

Było żywą lekcją historii, którą tworzyli w trudnych latach okupacji mieszkańcy tej wsi.

JANINA PACIOREK
Więcków

KTO TRAFIŁ W DZIESIĄTKĘ?

Ośrodek Usług Pedagogicznych i Społecznych ZG ZNP, KOiW i Okręgowa Rada Kultury Fizycznej i Turystyki ZNP wspólnie z Wojewódzkim Zarządem Ligi Obrony Kraju w Łodzi zorganizowali 15 czerwca br. V Wojewódzkie Indywidualne Strzeleckie Mistrzostwa Nauczycieli im. Władysława Wawrzynowskiego.

Do zawodów zgłosili się licznie nauczyciele łódzkich szkół, dyrektorzy, inspektorzy i prezesi.

W uroczystości otwarcia imprezy wzięli udział: kol. Zdzisław Niewiadomski — wiceprezes Zarządu Okręgu ZNP, a zarazem członek Prezydium Zarządu Ligi Obrony Kraju, kol. Kazimierz Stelmaszczuk — członek Krajowej Rady Kultury Fizycznej i Turystyki ZNP i kol. Zdzisław Kadziak — wiceprzewodniczący Okręgowej Rady Kultury Fizycznej i Turystyki ZNP.

Zawody rozegrane zostały w kategorii kobiet i mężczyzn w strzelaniu z kmk leżąc, bez podpórki, odległość 50 m, 30 strzałów ocenianych.

W kategorii kobiet na możliwych 300 punktów wystrelano:

kol. Anna Walczak — SP nr 11, punktów 246 I miejsce, kol. Barbara Kulińska — ZSE w Pabianicach punktów 203 — II miejsce, kol. Halina Palutek — OUPiS ZG ZNP punktów 104 III miejsce.

W kategorii mężczyzn: kol. Andrzej Domański — SP nr 2 w Pabianicach, punktów 282 — I miejsce, kol. Sławomir Telega — I LO w Łodzi — punktów 259 — II miejsce, kol. Grzegorz Rajtar — I LO w Łodzi punktów 236 — III miejsce.

Najlepsi zawodnicy otrzymali puchary, medale, dyplomy, a wszyscy uczestnicy imprezy pamiątkowe upominki.

Kol. kol. Anna Walczak, Barbara Kulińska, Andrzej Domański, Sławomir Telega oraz Halina Palutek i Grzegorz Rajtar reprezentować będą Łódź w XII Strzeleckich Mistrzostwach Polski ZNP i IV Memoriale im. Władysława Wawrzynowskiego w Lesznie, w październiku.

KAZIMIERZ STELMASZCZYK
Łódź

NOWOŚCI NADESLANE

LITERATURA PIĘKNA
Wojciech Zukrowski: ROZMOWY O KSIĄŻKACH. KIW, Warszawa 1989, s. 283, cena 1100 zł.
Nikos Kazantzakis: GREK ZORBA. KIW, Warszawa 1989, s. 268, cena 600 zł.
Witold Gombrowicz: DZIENNIKI 1953-1956. WL, Kraków 1989, s. 365, cena 1650 zł.
Władysław Łoziński: OKO PROROKA. WL, Kraków 1989, s. 322, cena 850 zł.
Halina Ochędusko: SZAL OD HARRODSA. WL, Kraków 1989, s. 196, cena 450 zł.
Józef Ignacy Kraszewski: BUDNIK. LSW, Warszawa 1989, s. 108, cena 370 zł.
Stanisław Głabinski: 1600 PENNSYLVANIA AVENUE. KIW, Warszawa 1989, s. 343, cena 1000 zł.
Mariam Akavia: JESIEŃ MŁODOŚCI. WL, Kraków 1989, s. 124, cena 370 zł.
Władysław Matlakowski: WSPOMNIENIA Z ZAKOPANEGO. WL, Kraków 1989, s. 78, cena 550 zł.
Merdin Nowak Njechorński: ŻYCIE PISANE I MAŁOWANE LSW Warszawa 1989, s. 284, cena 900 zł.
Irena Kowalska, Ida Merzan: ROTTENBERGOWIE ZNAD BUGA. LSW, Warszawa 1989, s. 206, cena 480 zł.
HISTORIA, IDEOLOGIA, POLITYKA PRZEMÓWIENIA 1988. Wojciech Jaruzelski KIW, Warszawa 1989, s. 372, cena 800 zł.
KONSTYTUCJA 3 MAJA. Wyd. Lubelskie, Lublin 1989, s. 78, cena 250 zł.
Iwan Bagramian: SŁAWNI DOWÓDCY. MON, Warszawa 1989, s. 500, cena 1450 zł.
Jerzy Chłopecki: CZAS ŚWIADOMOŚCI HISTORIA. KIW, Warszawa 1989, s. 318, cena 700 zł.
Józef Piłsudski: ROK 1920. Michał Tuchaczewski: POCHÓD ZA WISŁĘ. wyd. Łódzkie, Łódź 1989, s. 234, cena 1200 zł.

SPROSTOWANIE
Do artykułu Mariana Janusza Kawałko pt. „Burzyć stereotypy” („Głos” nr 28 z 9 lipca br.) wkraśli się błąd. Zamiast sformułowania: „Niektórzy inni Koledzy również odnieśli się z dezaprobatą do tego „występu” (notabene zgodnie z art. 12 pkt. 2 i 3 statutu) — powinno być: „Niektórzy inni Koledzy również odnieśli się z dezaprobatą do tego „występu” (notabene zgodnie z art. 12, pkt. 2 i 3 statutu)”. Za tę nieścisłość przepraszamy Autora i Czytelników.

Nauczycielka (SNP) z 5-letnim stażem pracy, z możliwością podjęcia studiów podejmie pracę w nauczaniu początkowym. Warunek: mieszkanie rodzinne, przedszkole. Zofia Kociołek 22-530 Wierbkowice, ul. Nowotki 10, telefon grzecz. 19. 309

TYGODNIK ZNP ODZNACZONY



KRZYŻEM KOMANDORSKIM ORDERU ODRODZENIA POLSKI



ZŁOTA ODZNAKA ZNP



MEDALEM KOMISJI EDUKACJI NARODOWEJ



KRZYŻEM ZA ZASŁUGI DLA ZNP

Redaguje zespół: Halina Drachal (kier. działu związkowego), Magdalena Grochowska Lidia Jastrzębska (II sekr. red.), Maria Kulińska (sekr. red.), Teresa Konarska (kier. działu listów i interwencji), Jerzy Krasniewski (kier. działu polityki oświatowej), Barbara Kozarska (red. techn.), Gożena Niedziółka Szczępińska, Zbigniew Pawłowski (redaktor naczelny), Maria Rybarczyk (z-ca redaktora naczelnego), Witold Salanski Wojciech Sierakowski (kier. dz. nauki i szk. wyższego), Henryka Witalewska (kier. działu kultury i wychowania), Zdzisław Nowak (kier. działu graficznego), Jan Rócki Marek Suchecki (fotoreporter), Kierownik administracyjny — Teresa Grochowska, korekta — Małgorzata Gościńska Małgorzata Pośnik.

Adres redakcji: ul. Spasowskiego 6/8, 00-389 Warszawa Telefony: centrala 26-10-11 oraz 26-94-20. 27-66-30.

WARUNKI PRENUMERATY:

Instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach Instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, w których nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli.

Prenumeratę indywidualną — zamieszkałą na wsi i w miejscowościach, w których nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” — opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. Prenumeratę indywidualną w miastach — siedzibach oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” — opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-odbiorczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonują używając blankietu wpłaty na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch”.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 20, 00-958 Warszawa, konto PKO XV Oddział w Warszawie nr 1658-201045-139-11. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę:

— do 10 listopada na I kwartał i I półrocze roku następnego oraz na cały rok następny.

— do 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Koszty prenumeraty krajowej na 1989 r.: kwartalnie — 650 zł, półrocznie — 1300 zł, rocznie — 2600 zł.

Tekstów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo do ich skracania i opatrywania tytułami.

Reklamy i ogłoszenia przyjmuje oraz informację udziela Biuro Ogłoszeń i Reklamy Wydawnictwa Współczesnego, 00-490 Warszawa, ul. Wiejska 12 tel. 28-24-11, wew 195 i 221. Ceny ogłoszeń: drobne — 800 zł za 1 wyraz lub znak o oddzielnym znaczeniu; dla ogłoszeń dotyczących poszukiwania pracy przez nauczycieli — 50 proc. niżki; dodatkowa opłata za pośrednictwo w przekazywaniu ofert — 400 zł; kredytowe: komunikaty — 1000 zł, pracownicy poszukiwani — 1000 zł, nekrologi — 600 zł, reklamy — 1000 zł za 1 cm kwadratowy.

Należność za ogłoszenia prosimy wpłacać na konto: Państwowy Bank Kredytowy — III O/Warszawa, nr rachunku 370015-5223 139-11.

Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch”. 02 017 Warszawa ul. Nowogrodzka 84/86.

Nr indeksu 35 923
PI ISSN 0017 1263
Zam. 1363. A-31.

PAŃSTWOWA SZKOŁA MUZYCZNA I STOPNIA

w Turku

ZATRUDNI

z dniem 1 września 1989 r.

nauczycieli o specjalnościach:

- fortepian, skrzypce lub
 - fortepian + inny instrument do uzgodnienia z dyrektorem szkoły
- Małżeństwu zapewnia się mieszkanie typu M-4 (trzy pokoje).

Adres:

Państwowa Szkoła Muzyczna
I stopnia w Turku
62-700 Turku
ul. Kolska 2
tel. 42-46

K-304

INSPEKTOR OŚWIATY I WYCHOWANIA

w Brzezinach k. Łodzi

ZATRUDNI

od 1.09.1989 r.

w Szkole Podstawowej w Przecławiu małżeństwo nauczycielskie o specjalnościach:

- język polski — matematyka.

Zapewniamy komfortowe mieszkanie. Oferty prosimy kierować pod adresem:

Urząd Gminy w Brzezinach
Inspektor Oświaty i Wychowania
ul. Sienkiewicza 16

K-308

INSPEKTOR OŚWIATY I WYCHOWANIA

w Janikowie
woj. bydgoskie

ZATRUDNI

od dnia 1 września 1989 r.

małżeństwo nauczycielskie o specjalnościach:

język polski + nauczyciel, który mógłby nauczać geografii, biologii, pracy techniki lub dwie nauczycielski samotnie o powyższych specjalnościach w Szkole Podstawowej w Górach.

Zapewniamy mieszkanie 3-pokojowe z wygodami oraz działkę 0,7 h, ogród warzywny i owocowy, ogródek kwiatowy.

Oferty należy przysłać pod adresem:

Inspektor Oświaty i Wychowania
ul. Główna 6, 88-160 Janikowo,
telefon — Janikowo 230.
K-304

DYREKCJA ZESPOŁU SZKÓŁ OGÓLNOKSZTAŁCĄCYCH

59-300 w LUBINIE

ul. Kopernika 7

tel. 44-23-22

woj. legnickie

ZATRUDNI

z dniem 1 września 1989 r.

nauczycieli języka angielskiego z pełnymi kwalifikacjami.

Możliwe dodatkowe zatrudnienie w godzinach ponadwymiarowych w szkole i środowisku.

K-235

INSPEKTOR OŚWIATY I WYCHOWANIA we Fryszaku

OGŁASZA KONKURS NA DYREKTORA

Szkoły Podstawowej we Fryszaku
woj. rzeszowskie.

- udział w konkursie mogą wziąć nauczyciele mianowani, posiadający:
- wyższe wykształcenie magisterskie z przygotowaniem pedagogicznym,
- co najmniej 6 staż pracy pedagogicznej,
- ocenę pracy zawodowej szczególnie wyróżniającą,
- nie karani sądowo ani dyscyplinarnie.

Ubiegający się przedkłada w formie pisemnej program działań, jaki zamierza podjąć pełniąc funkcję dyrektora tej szkoły. Przedłożony program stanowi główne kryterium oceny kandydata.

Ofertę wraz z kompletem dokumentów potwierdzających posiadanie wymienionych kwalifikacji oraz propozycję programu działania dyrektora należy złożyć u Inspektora Oświaty i Wychowania we Fryszaku do dnia 14 sierpnia 1989 r.

Oferty złożone po tym terminie nie będą rozpatrywane.

Brak mieszkania służbowego.

Zapewniamy się mieszkanie na ogólnych zasadach przysługujących nauczycielom wiejskim

K-303

INSPEKTOR OŚWIATY I WYCHOWANIA

w Terespolu n. Bugiem

ZATRUDNI

z dniem 16.08.1989 r.

PSYCHOLOGA I LOGOPEDE w Poradni Wychowawczo-Zawodowej w Terespolu n. Bugiem.

Bliższych informacji udziela

Inspektor Oświaty i Wychowania
ul. Wojska Polskiego 99, tel. 74
oraz Dyrektor Poradni Wychowawczo-Zawodowej tel. 344

K-305

KSIEŻYC PRÓG NIEBA

A więc kolejna książka Konwickiego, i to w wysokim, 100-tysięcznym nakładzie. „Kompleks polski” ukazuje się, jak i „Apokalipsa” w Wydawnictwie „Alfa”, w serii z Tukanem. Dokonajmy jednak podliczenia. Skoro w 1986 czytaliśmy „Nowy świat i okolice”, w '88 „Bohater” i wznawioną „Małą Apokalipsę”, a teraz w '89 mamy „Kompleks polski”, to widocznie muza Konwickiego miewa się dobrze, choć on sam coraz bardziej pesymizuje.

„Kompleks polski” jest stosunkowo krótką opowieścią o wieczorze wigilijnym, spędzonym głównie w ogonku, jaki utworzył się w jednym z warszawskich „salonów jubilerskich”. Narratorem ma być nibyż to sam autor, rozpoznawany przez współczesnych „stania” jako Tadeusz Konwicki, w młodości przezywany „Konwa”. Naitony czytelnik, gdy mu się zgadzają personalia pisarza i kiedy słyszy o żonie i córkach Konwickiego, zaciska po jakimś czasie dłoń i mruczy: „Idźcie pan wreszcie do domu z tego durnego ogonka. Rodzina czeka, a pewno i barszcz z uszkaami. A tu towaru oprócz srebrnych ruskich samowarów już nie dowiozą, no i bractwo kolejkowe nie takie znowu uroczne. Na romans też jakby za późno mimo iż dwóch reflektantek! Po co marnować czas, panie Konwicki, jeśli ty rzeczywiście... Konwicki.”

A on nie, tylko tam trwa jako dwudziesty trzeci. Wychodzi co prawda, a to do meliny, aby popić z takim Kojranem z koleżki. Wymyka się, żeby „poobcować” z dziewczyną z jubilerskiej lady, która... przybyła tu być może z innej galaktyki po odsekaniu na wybranego łus tam lat kwietnych. Nie spieszy się do domu narrator.

Rozpoczyna nawet prawdziwą spowiedź przy konfesjonale w kaplicy wycozarowanej za kolejnymi drzwiami, które raz po raz same się otwierają w odrapanych warszawskich murach, w odległości pół kilometra od Pałacu Kultury. Wiek to jednak nie Konwicki. To sama tylko myśl, refleksja, wyodrębnione sumienie i do tego seks. Późnojesienny, trochę surrealistyczny, ale seks.

Czy zatem z wyliczonymi tu bohaterami książki łatwo się przebywa? Jak z którymś. Sieganie w kosmos, częste w utworach Konwickiego-filozofa, przypomina tylko o tym, jak jesteśmy bezzilni wobec zagadek galaktyki. Refleksje historyzofa? Spółgował je autor przytoczeniem strasznego listu od przyjaciela, przebywającego w szpitalu w jednym z okrutnych orwellowskich krajów. W tym właśnie liście znajduje się fragment nie wiem, czy meksjanistycznej, ale w każdym razie natchnionej prozy, którym książkę anonowano w telewizji. Oto te słowa:

„Staram się przypomnieć sobie to nasze przedwiośnie pełne oczekiwań, pełne pragnień, pełne nadziei. Powtarzam sobie w myślach to krótkie słowo „Polska” i wtedy jawi się we mnie jakaś rzucona podniosłość, coś jasnego, swobodnego, kojącego. Polska — ojczyzna wolności, Polska — młotek tolerancji, Polska — wielki ogród bujnego indywidualizmu. Gdzie ludzie pozdrawiają się uśmiechem, gdzie policjant nosi różę zamiast pałki, gdzie powietrze składa się z tlenu i prawdy. Polska — wielki biały anioł pośrodku Europy”.

Biały anioł? Czymże już nie bywała? Chrystusem narodów i ich Winkleriem, pawiem i papugą, zbiorowym obowiązkiem, w końcu „ta, co nie zginęła”. Czytamy słowa Konwickiego jako dodane do

takiego kompletu. Dobrze, że on je wyprzedził, bo u kogo innego byłby to puenty dźwięk.

Wzniosłość miesza się w tej książce z trybitalnym bytowaniem „bogiej” stolicy. Przytłoczonej czekaniem na towar, drobnym występkiem i kombinacjami na marginesie prawa. Przypominamy, że póki ten wigilijny ogonek nie nabierze cech metafizycznych, pozostaje doskonałym obrazkiem rodzajowym. Co zdanie, to coś, co postać, to ktoś. Oto podstarzała cokolwiek Julia, „wieśniaczka” z okolic Radości i Miłoszy, właścicielka fermy nabytej za resztki „postamerykańskiej” fortuny. Ta Julia utyskuje na Konwickiego, bo w latach szkolnych (dawnych!) prześladowano ją obojętną lekturą jego „produkcyjnika”.

Spośród czekających na towar niektórych, jak pisałem znają Konwickiego. Ten, co dmucha mu w kółko, wspomniany już Kojran, okazał się kolegą ze stron rodzinnych i z wileńskiego AK. W latach bezpośrednio powojennych chodził rzekomo za dawnym towarzyszem broni z wyrokiem śmierci za pazuchą, wydanym przez podziemie. Zulekał przez trzy tygodnie z oddaniem strażu, nie wiedząc, że za nim też chodzi inni. A gdy ci go schwytały na sześć ciężkich lat, wyrok na Konwickiego rozpułynał. Może zresztą istniał tylko w wyobraźni?

Za Kojranem stoi w ogonku jego dawny prześladowca, żeby nie powiedzieć: oprawca. Ołbrzym o potwornych pięściach i niewinnym imieniu: Duszek. Ten od wielu lat ma jeden cel w życiu „Jak go zwolnić z organów — mówi Kojran — przykleił się do mnie i czeka na odpuszczenie starych grzechów”. Już je prawie uzyskał. Tak. Tych dwóch „ogonkowiczów” trudno będzie zapomnieć.

Książka poświęcona jest przede wszystkim perypetiom polskiej świadomości, zawsze, co tu mówić, nacechowanej tragizmem. Aż dwukrotnie musi tu więc urocić motyw Powstania Styczniowego. Przypominamy, że o ile umieszczony w książce opis jednej doby z życia Traugutta jest wyrazisty i ciekawy (nie więcej), o tyle leśna opowieść o losach rzekomego, czy prawdziwego przodka pisarza, Zygmunta Mineyki, sprawia zupełnie wyjątkowe wrażenie. Może przez swój nastrój na polu baladownym, może dzięki wspaniałe podpatrzonemu kresowemu realiom XIX wieku?

Wszystko dzieje się jesienią 1864 w oszmiańskim powiecie w leśnych ostępach. Przybywa tu 23-letni Zygmunt, starszy od Tadeusza Konwickiego, gdy podejmował podobne działania w tych samych okolicach, nad tą samą rzeką Wileńką. Tyle, że w 1944. „Byłeś starszy ode mnie o pięć lat i młodszy o osiemdziesiąt” — rozmawia Konwicki ze swoim „krewniakiem”, którego losy okazały się niezwykle, bo jakieś mogły być?

Za duszę Mineyki odprowadzono już mszę żałobną, ale wrócił do matki i siostry po

ukończeniu szkoły wojennej w Genui i po bitwach stoczonych pod wodzą Langiewicza. Poznajemy bliżej tego chłopca-pułkownika, gdy otrzymuje w samotnym dworku nominację Rządu Narodowego na Wojskowego Naczelnika Oszmiańskiego Powiatu. Zaraz potem usiłuje zebrać mały oddział uzbrojonych we flinty młodych ochotników. Sceny grotgerowskie powtarzają się jedna po drugiej. I we dworku, i na leśnych rozstajach. Tamują oddech w piersi i budzą zastanowienie nawet samego bohatera, czy ich czasem nie za dużo. Jest też drgnienie zakazanej, cudownej miłości do cudzej żony, takiej Wandy, która „przyglądała się wielkimi oczami, co na pewno mieniły się barwami mchu albo wrzosa, bo takie oczy miały te dziewczyny, w których żyłach pulsowała krew Lechitów i Litwinów, Karaimów i Tatałów”.

Na ścieżkach leśnych towarzyszył bohaterowi księżyc — „próg nieba”. „A księżyc w tamtych czasach świecił rzęsiście, jak powinien świecić księżyc, bo wówczas nie zatary się jeszcze granice i lato różniło się od zimy, pleć od płci, życie od śmierci”.

I chlonie czytelnik te dziwne strony jak nową „Wienia rzekę” czy jak „Echa leśne”. Tyle że bliższe to wszystko nam, bo powiązane niemal bezpośrednio ze starszym osobnikiem, który jako dwudziesty trzeci tkwi w koleżce po towar, może vis-à-vis naszych okien. Stoi tam od jedenastej i chciałby odtworzyć to, o czym mógł myśleć Mineyka w 1864, „wsluchany w leciutki wiatr w pastarskich duktach” i przejęty poczuciem odpowiedzialności za losy gromadki rówieśników. Podobne emocje wodzowskie przeżywał przecież o wiele później jako 18-latek sam Konwicki.

Wróćmy jednak jeszcze na chwilę do przedstawionej w książce legendy (lub prawdy) o Zigmuncie Mineyce. Otóż wspomniany grupą dziesięciu nowych ochotników, może zbiegów z rosyjskiego wojska, zaczął się za groblą na nacierające znaczne siły piechoty. I wtedy...

I wtedy wystarczył jeden celny strzał przeciwnika, jedna śmierć chłopca imieniem Ildek, aby niefortunny oddział rozbiegł się i przestał istnieć. Samotnego tułacza, chłopca — pułkownika z oryginalnym nominacją w kieszeni, dopadną wkrótce ślepacze, nastąpi przez Murawiowa-Wiesziatę. Zginie śmiercią równie okrutną jak bohaterowie Zeromskiego.

„Kompleks polski” jest na pewno książką wyjątkową, godną piór wytrawnych krytyków literackich. Dla czytelnika mojej skali osnową utworu są dwie jego, niepodobne do siebie, części: list z orwellowskiego świata i ów 40-stronicowy rozdział poświęcony polskiemu powstaniu w dolinie rzeczki Wileńki. Skoro autor czy narrator rozmyślał o takich sprawach, to może będzie mu darowane, że spóźnił się na wigilię do domu?

W OBIEKTYWIE

POLSKIEJ AGENCJI TELEGRAFICZNEJ

HENRYKA WITALEWSKA

KONIE MUNDURY BALONY...

Nareszcie! Nareszcie możemy obejrzeć na ekranach naszych telewizorów codzienne życie Drugiej Rzeczypospolitej. No, może niezupełnie codzienne — każda kronika odnotowuje tylko ważne lub (z jakichś względów) ciekawe i godne uwagi, wydarzenia — ale przecież ukazujące realia, fakty, klimat i atmosferę przedwojennego Polski. Kształt dni i tygodni lat trzydziestych.

Jak bardzo potrzebne są nam takie filmy i publikacje, jak wielki głód odczuwamy w tej sferze, wiedzą o tym szczególnie dobrze nasi czytelnicy, którzy wciąż się domagają (i to nie tylko nauczyciele historii) kontynuowania przez „Głos Nauczycielski” „Zeszytów Historycznych”. Edukacja historyczna nas wszystkich, również i ta realizowana w szkołach, pozostawia przecież ciągle — mimo wyraźnych zmian w tej dziedzinie — bardzo wiele do życzenia i wciąż mamy ogromne luki w wiedzy dotyczącej dziejów ojczyzny, zwłaszcza z niedawnej przeszłości.

Tym bardziej więc cieszy fakt, że ostatnio możemy oglądać w naszej telewizji, odnalezione cudem, kroniki Polskiej Agencji Telegraficznej. Ów „Tygodnik Dźwiękowy” — jak go nazywano — stanowi istną kopalnię wiedzy o czasach, o których jeszcze do niedawna słyszeliśmy zazwyczaj tylko stereotypowe, negatywne opinie.

Kroniki PAT pokazują różne strony i barwy rzeczywistości lat trzydziestych. Pełna entuzjazmu budowa Gdyni, powitanie Naczelnego Wodza — Rydza Śmigłego w Tychach i Dąbrowie Górniczej, konkurs modeli balonowych (jak się okazuje — pionierem w tej dziedzinie była młodzież szkolna w Rawiczu), zlot harcerski w 1936 roku w Spale, poświęcenie kopca ku czci marszałka Piłsudskiego, uroczystości przed Grobem Nieznanego Żołnierza na Placu Zwycięstwa (noszącym wówczas, gdy stał jeszcze Pałac Saski, nazwę placu Piłsudskiego).

Często w kronikach tych pojawiają się konie i mundury wojskowe (wszelakich formacji). Oglądamy więc najróżniejsze wystawy wierzchowców, liczne defłady wojskowe z kawalerzystami na czele, sylwetki znanych dowódców, których podobizny oglądaliśmy przedtem niezwykle rzadko. Możemy się też wreszcie przekonać, w jaki sposób spoglądały onegdaj na „chłopców młolowanych” panie i lepiej zrozumieć sens, budzący dziś tu i ówdzie zdumienie, porzekadła: „za mundurem, panny sznuram”...

Właśnie kroniki PAT pokazują rzecz, której nie przekazały żadne opisy ni relacje — klimat emocjonalny tych lat, nastroje i uczucia społeczeństwa, a przynajmniej niemałej jego części.

Obiektywy Polskiego Tygodnika Dźwiękowego utrwalały również tak ciekawe rzeczy, jak: jarmark w Pińsku — stolicy Polesia, zawody sekcji kolarskiej warszawskich tramwajarzy, zajęcia na szkolnym żaglowcu Marynarki Wojennej „Iskra”, wybór w Krakowie króla kurkowego...

Zobaczyliśmy też wodowanie najłobniejszego statku polskiego — „Batory”, mecz piłki nożnej (który odbywał się na trzy lata przed wybuchem wojny) między reprezentacją Polski i Niemiec, swoisty portret zbiorowy środowiska Polaków w Gdańsku w 1934 roku...

Kroniki te, a także ich (ówczesne!) komentarze budzą oczywiście najróżniejsze refleksje i odczucia współczesnego widza. Niektóre najwyraźniej wzruszają, inne — odrobinę śmieszają, jeszcze inne — wywołują zdumienie.

I tak właśnie powinno być. Taka jest rola filmu i programu dokumentalnego. Budzące najróżniejsze reakcje, zbliżają po prostu do określonych czasów i epok, pozwalają poznać ich smak i zapach. I samodzielnie ocenić.

I to jest najważniejsze. Dlatego tak bardzo cieszy, że ostatnio możemy oglądać w naszej telewizji kroniki filmowe z lat trzydziestych.



LITERACKI GŁOS

Nr 2 (104) 23 VII 1989 r.

NAUCZYCIELSKI

REDAGOWANY PRZY WSPÓŁDZIALE NAUCZYCIELSKICH
KLUBÓW LITERACKICH

EUGENIUSZ KOŹMIŃSKI

III nagroda

FOTOGRAF

Wszyscy w tej części miasta wiedzieli, że pogodę przewidzieć można patrząc na barometr lub w okna baru starego Konstantyna. Ten drugi sposób był zresztą pewniejszy: jeżeli widziało się starego, pochylonego przy wycieraniu kufli, a przy stoliku pod oknem pił szyper Jano — sztor był muiowany i wyjścia w morze wstrzymane. Knapa, nosząca dumną nazwę „Bar gastronomiczny” — ale bez określenia kategorii, bo chyba do żadnej znacznej nie można jej było zaliczyć — przelewała się po brzegi tymi, którzy zdążyli. Tak jest zawsze z rybakami w czasie sztoru: leczą reumatyzm na domowy sposób, moczą obolałe stopy, piją w barze.

Pływałem od niedawna i miałem ciągle mało morza. Chodziłem do portu patrzeć na fale białą tryskające ponad światła latarni, słuchałem zgrzytu kutrów, wiszących na łańcuchach u nabrzeży gdy fala odchodzi, a wyskakujących jak ukryty brytan, gdy podbiega. Chciałem zrozumieć te zapasy morza ze wszystkim, co naokoło: głazami falochronu, żelazem mola i śmierzdzącymi lupinami, zagnanymi w załomy kanału portowego.

Tego dnia również szedłem do portu mimo parszywej pogody, wdychając dym z mokrego papierosa. Po pracowitym lecie miasto miało swoje wakacje. Wyjechali o statni wczasowicze, sklepy opustoszały, ulice zdawały się zbyt duże dla ludzi, którzy żyją tu stale. Nawet szalety zostały zamknięte. Teraz było to już tylko nasze miasto, zakończył się kolejny sezon.

U zbiegu ulic, przy aptece, zaciekawili mnie człowiek nachylony nad chodnikiem. Gmerał butem w czymś szarym, rozglądał się i nie odchodził. Przeciąłem ukosem jezdnię. Mężczyzna butem kopał cielsko psa.

— Chyba zdechl, nie rusza się weale.

Poznałem, był to pies fotografa. Nie wielu ludzi znało nazwisko tego artysty sezonowych wzruszeń, choć obaj z psem stanowili jakby własność miasta. Tak wrośli w pejzaż, że trudno wyobrazić sobie tu sezon bez fotografa i jego psa. Stary pstrykał i kasował, pies brzęczał dzwonkiem, nosił pracowicie na swoim łbie marynarską czapkę lub inne rekwizyty, stawał posłusznie przy najrozmaitszych ludziach, by pozostać już z nimi na zawsze, gdy wspominać będą swoje wakacje. Teraz leżał martwy.

Bar był po drugiej stronie ulicy. Gdy wszedłem, właściciel dużymi łapskami wycierał fajansowe kufle. Pochylona głowa przypominała błyszczącą kulę bilardową. Chyba z tego powodu przed laty studenci warszawscy nazwali go „zieloną białą” i pod takim przewiskiem znalazł się w jednej z piosenek STS. Spojrzał przez okulary.

— Wcześniej zaczynasz. Co podać na poczętek?

— Słuchaj, tam na ulicy leży pies fotografa.

— Coś ty powiedział?

— To. Zdechl i leży już tak od dawna.

Barman postawił ostrożnie kufel. Potem jeszcze ostrożniej zdjął okulary. Przez chwilę jakby trzymał się za serce, ale nie, on tak długo szukał futerału. Widziałem, że był przejęty. Rzucił ścierkę na kranik, skąd zaczęło się piwo i tak jak stał — wybiegł na ulicę. W drzwiach krzyknął jeszcze. Ja sam, a tym popilnuj! — a wtedy zobaczyłem jego zbliżającą twarz.

Wiatr sychnął na niego całą garść wody, zatrzymał na chwilę, ale Konstantyn prze-

mógł się i ruszył dalej, bo nie było go widać przez szybę drzwi wejściowych.

★

Czekając na jego powrót, zacząłem przypominać sobie pierwsze spotkanie z nim. Było to w dzień mojego przyjazdu. Rozpakowałem walizkę, wypaliłem papierosa i nie wiedziałem dalej, co ze sobą robić. Dotąd, o tej porze, siadałem zwykle na poręczy jednego z trzech mostów w moim małym miasteczku, gdzie wszystkich ludzi znałem i w ciągu jednego dnia, właśnie na tych mostach, mogłem ich spotkać. Tu nie znałem nikogo. Siedziałem więc sam w pokoju i właśnie to miasto, skąd przyjechałem, przypominało mi się teraz: mostami, rzeką — jak spodem leniwie mijała

TADEUSZ KUBAS

PIELGRZYM

Idą za nim przebyte drogi —
serpentyńny węży oślizgłe

Jego życie jest Odyseją
gdyż omija stwórca swe dzieło

Wieczny pielgrzym — nowy Don Kichot
szuka domu we własnych słowach

Tak oswoja pamięć o losie
co rozminął się z horoskopem

Pnąc się w górę — po piętrach czasu —
wie to samo co i Sokrates

Nigdy tego nie będzie wiedział
kto uprawia w sercu cykutę

STEFAN SZAJDAK

DO WSPÓŁCZESNYCH

Myśli wasze
oślepięte blaskiem techniki
zarasta perz.
Wargi
opuchnięte od przemówień
parzą pokrzywą
Serce kuśtyka
od szumu świata.
Zrenicie
wypatrują doskonałszy świat.
Chłodny wiatr
od ludzi
smaga ironią i pogardą.
Otwórzcie szeroko drzwi,
nakryjcie stół
słońcem.

filary i poruszała cienie nasze, odbite w wodzie a tak cierpliwie rzucane, że ich kształt na falach powinien był do dziś jeszcze pozostać...

Myślałem więc o domu, o rzece i naraz przyszedł do mnie smak wody, znajomy i natrętny. Wyszedłem więc z pokoju, by zobaczyć morze. Kierowałem się w stronę, gdzie mrowisko ludzkie było coraz rzadsze, a deptak, z asfaltowego, stał się normalny, piaszczysty. Ale i wtedy nie dochodziłem do brzegu, oddalając spotkanie. Nie chciałem, aby było banalne na oczach wszystkich.

Park się skończył. Z prawej strony miałem puste pole oznaczone konstrukcjami masztów i kreciami linii elektrycznych. Odwróciłem głowę. Ponad pagórką widać było niebo: białe, trochę niebieskawe,

puste. Spojrzałem jeszcze dalej, jakby za horyzont, jeszcze parę niecierpliwych kroków...

W dole zajaśniała rozpalona plaża, ciemniejsza u brzegu, bo chłodzona podbiegającą falą. Od miejsca tego ciągnęły się w nie znanym mi dotąd wymiarze dwie idealne płaszczyzny. A ja stałem między niebem a wodą myśląc, że chyba tonący ma dopiero pewność, co jest niebem a co morzem.

Morze lekko falowało. Fala szła od wczoraj, od lat, może całą wieczność. Jej grzbiety wskazywały siłę wiatru, co poruszał wodę i pędził ją w nieznane, gdzieś na krańce świata. Przy tym falowaniu ludzie rozdzielili się i umierali, bo ludzie, wiatr i morze są od zawsze.

Siadłem na piasku i nie zbliżałem się do brzegu. Wokół trwała cisza tak wielka, że kiedy beknął ostry głos syreny, choć port był daleko — odwróciłem głowę. Po górach piachu w moim kierunku wędrowała dziwna para: człowiek z aparatem fotograficznym i pies z tabliczką na szyi. Zbliżali się wolno i coraz wyraźniej było widać, jak bardzo obaj są zmęczeni. Stary człowiek i stary pies.

— Spiesz się Dingo, straciłmy dwie godziny, a to dużo. Odpoczniesz, jak skończy się sezon. Napalimy w piecu, a wyjdziemy tylko po mleko, bułki i kość.

Ale pies nadal nie nadszedł, więc stary siadł na palach falochronu. Zdjął sandały i zanurzył stopy w wodzie. Pies ułożył się obok. Przez cały jednak czas stary rozprawiał o konieczności dalszej wędrówki. Wtedy podszedłem bliżej i fotograf przybrał zawodowy wyraz twarzy.

— Pamiątka z plaży dla pana? Na tle morza czy z pieskiem? Wykonujemy trzy pocztówkowe, płatne z góry. Dingo, hop! — póki słońce.

— Dziękuję, może innym razem.

— Szkoda, byłoby dla pana i rodziny — odrzekł, ale nie zauważyłem rozczarowania na jego twarzy.

Tak wyglądało nasze pierwsze spotkanie. Potem były następne, wieczory i noce, przemilczane czy przegadane. Choć to gadanie często zamieniało się w jego monolog, przerywany moim pytaniem lub chrapaniem psa. Poznałem także jego przyjaciół: szyprę imieniem Jano, cenionego rybaka, ale i wielkiego znawcę wszelkich trunków, oraz barmana Konstantyna, który po różnych burzach dziejowych osiadł w „Barze gastronomicznym” i tulił rozbitków w sztorowe wieczory. Byłem jednym z nich.

Do starego fotografa przylgnałem jednak najserdeczniej. Łączyły nas rosyjskie romanse, oraz zachwyt nad opowiadaniem tego starego poety, utrzymanymi w dobrym, staroświeckim stylu. Młyny nad Utratą, Kamionną i Lutynią były pretekstem do rozmów o życiu, które fotograf znał dobrze, a którego ja ciągle byłem ciekaw.

Tylko że zawsze były to cudze przypadki, o sobie nie mówił nigdy.

★

Czekałem na rejs. Było już dawno po sezonie, Dingo i stary nie pokazywali się u Konstantyna. Poszedłem więc ja do ich pracowni na półpiętrze. Stary otworzył drzwi jeszcze w bieliznie i rozglądając się po pokoju, powiedział:

— Wiesz, Piotrusiu, śniły mi się dzisiaj konie. Całe tabuny koni, pędzących po stepie lśniącym od rosy. Step falował pod ich kopytami, przyskała spod nóg mgła, a one pędziły w bezkres. Usiłowałem je zatrzymać, bo daleko pokazały się ciężkie chmury. Ale konie pędziły ku chmurom, a chmury ku nim i widać było, że zderzają się nieuchronnie. Krzyżałem przeraźliwie, strzelałem ze strzelby ponad ich falującymi łbami, ale one, rozszalałe, pędziły nadal. Serce tłukło mi coraz moc-

DOKOŃCZENIE NA STR. II



Bronisław J. Tomecki — „Pejzaż flaki” — linoryt.

Przypominamy, że w poprzednim numerze „Literackiego Głosu Nauczycielskiego” (Nr 1/103/ z 2 IV 1989 r.) zamieściliśmy gros utworów nagrodzonych i wyróżnionych w konkursie ogłoszonym z okazji 20 lecia naszej wkładki literackiej; w numerze bieżącym drukujemy opowiadanie Eugeniusza Koźmińskiego pt. „Fotograf”, które zdobyło trzecią nagrodę w tym konkursie oraz wiersze Franciszka Tadeusza Krasuskiego i Krystyny Szarzyńskiej, na które jury zwróciło dodatkowo uwagę.

Jednocześnie przypominamy, że pełną listę laureatów konkursu ogłosiliśmy w „Głosie Nauczycielskim” nr 2/89.

JACEK RĄCZKIEWICZ

Janek Rączkiewicz — były pracownik naukowy Akademii Rolniczej w Lublinie na stanowisku docenta, sekretarz Nauczycielskiego Klubu Literackiego im. Józefa Cieszkowicza, zmarł w pełni sił twórczych — w wieku 49 lat — w czerwcu bieżącego roku.

Postawiłem
snopek
konia
zaprzęgałem
lejęce przetrząsnę
przez plecy
plug
trzymam
mocno
Wio
małenka
lato
przewróćmy

KRYSTYNA SZARZYŃSKA

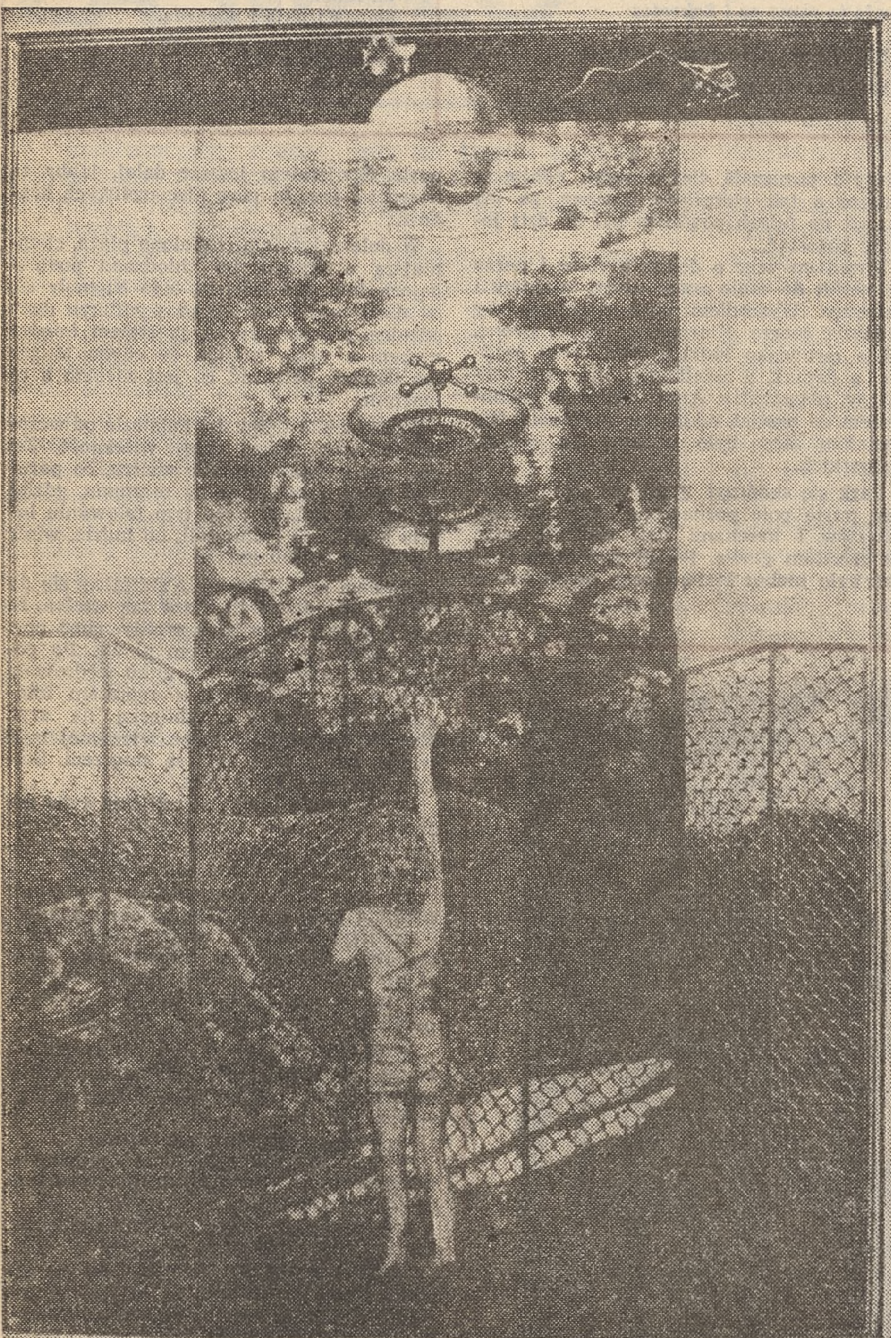
ŁĄKA

cisza wibruje zgrzytem
doszorca uwalnia trawnik
od zapachu
do mnie
łąka przychodzi
motyle udają kwiaty
słęgam pierzchają
i koniki polne
kiedys podarowałeś mi
ze zwykłą sobie rozrzutnością
ręką przywołałeś horyzont
przybiegli przyłgnął do nieba
teraz chce mnie widzieć
wślada do windy
dzwoni niecierpliwie
wybiera najbrzydszy gliniany
dzban
i prosi o wodę
jakby przewędrowała pustynię

FRANCISZEK

TADEUSZ KRASUSKI

zamykam dzień
pod powieką
jeszcze dzwoni pośpiech
trzaskają minuty
stracone
wiadomości wbite w ciemność
słońce w przelocie
do domu
zatrząskują drzwi
wieczorem
odpoczywam za zamkniętym
dnem
daleko odpływam
w siebie samego



Jan Leśniak — „Trudne wyjście” — litografia barwna.

FOTOGRAF

CD. ZE STR. I

niej, dławilo w gardle i chyba ze strachu o życie tych koni, a może wysilek, by je zawrócić, był dla mnie za duży — dość, że zemdląłem. Gdy się obudziłem, za oknem falowało morze, a wszystkie motyle zdechły. Pozbierałem je, popatrzyłem tam, za szkłem. Co to może znaczyć, Piotrusiu?

Nie rozumiałem. Skąd u diabła konie, step pełen traw mokrych od rosy, kiedy sztorm za oknem? Skąd to zmęczenie i strach w jego oczach?

— Czy często masz takie sny?

— O tak, konie pędzące po stepie śnią mi się często. Tylko że siły mam coraz mniej i nie mogę ich zatrzymać.

— Czy mówiłeś o tym komuś? Może lekarzowi?

— Nie, przecież nikogo to nie obchodzi. Zresztą pora zakończyć swoją podróż, do lata tak daleko! Dawniej, kiedy jeszcze byłem młody, myślałem: wszędzie można

żyć. Nawet tutaj, gdzie ziemia obca i groby cudze. Ale lata mijały, a ja z okien widziałem tylko wielką wodę, strome urwisko, a na obu krańcach horyzontu ciemne, bukowe lasy. Może kipiło przy sztormach jesiennych, atakowało wysoki brzeg, ale potem cichło, pokonane. A może tylko udawało pokorę, liżąc plażę długim, mokrym jęzorem? Bo zniecała znowu zrywało się w nocy jak opętane, tłukło o falochrony, szarpało łańcuchami łodzi rybackich. Myślałem: może uda się współżyć z tą wielką i złą wodą? Kiedys, po dniach nawalnicy, zobaczyłem jak fale zniszczyły brzeg, zniszczyły kawał tego czarnego lasu i drzewa teraz dusiły się przewrócone w miakki piasek plaży. Ich korzenie, obnażone, schły od nadmiaru tlenu i słońca. Ucieszyłem się, że może wspólnie powalimy te bukowe bory, by nie zasłaniały horyzontu, nie głuszyły traw. Ale lasy były niezniszczalne! Odrastały co roku, gdy woda, po wiosennej kipieli, uspokajała się do jesieni, dając roślinom czas na odnowę.

Zamknąłem się w sobie. Okiennice od strony wody zawarte zostały naглуcho. Pozostał mi taras i ogródek, gdzie Dingo mógł pobiegać, chociaż nie dojrzywały w nim czereśnie, nie było zapachu traw stepowych, nie przeświecało słońce przez gałęzie drzew przy studni.

Nie mogłem polubić tych stron. Ale czy tylko ja? Popatrzyłem na tego ptaka. To sokoł, z którym kiedys, dawno, polowałem. Kiedy po tamtych burzach wylądowali tutaj, ptak nas też odnalazł. Tyle wiorst, inny świat, a jednak instynkt doprowadził go do nas. Kiedy więc odpoczął po podróży — wyleciał przez okno, aby obejrzeć okolice. I znalazł tylko wielką wodę, strome urwisko na brzegu, a na hory-

zoncie ciemne, bukowe lasy. Co było dalej? Ptak powiesił się, zwyczajnie po ludzku zakończył życie.

Stary zakończył monolog, a ja spojrzałem we wskazanym kierunku. Nad staroświecką komodą, poszarzały od kurzu i starości, wisiał jakiś ptak z otwartym dziobem i rozcapierzonymi pazurami. Jedwabny sznur zaciskał mu szyję. Przyznaję, sprawiło to pewne wrażenie, ale i tak dostrzegłem, że nie był to sokoł, lecz może gawron tak oporzadzony przez jakiegoś łobuza czy babę wiejską, która odstraszała w ten sposób inne ptaszyska, by nie robiły sobie zbyt dużego apetytu na jej kurczęta? Bo przecież nie chciałem wierzyć w samobójstwo sokoła!

Nie wiedziałem, co dalej robić. To wszystko nie trzyma się kupy — myślałem. A może stary jest poważnie chory? Trzeba porozmawiać z Konstantynem, jest przecież jego przyjaciелеm.

Lecz barman niewiele chciał mówić. Wspominał o konie fotografa, którą pochowal w czasie transportu jeszcze po tamtej stronie. Potem zamyślił się długo i powtarzał tylko jedno słowo: nostalgia, nostalgia... Znalazłem je w słowniku, ale na nowo odszukałem w słowniku, by się jeszcze upewnić.

Jak tylko zszedłem na ląd po następnym rejsie, zaraz popędziłem do pracowni na półpiętrze. Jednak stary był już innym człowiekiem, przebywał myślami w innym świecie. Całymi dniami opowiadał o swoich snach. Pełno było w nich koni i motyli, a także sokołów, ptaków szlachetnych o tragicznym losie. Przy tych opowieściach

męczył się coraz bardziej, jakby na jawie także chciał dorównać gnającym na oślep tabunom koni i szybującym sokolom.

Widać było, że gaśnie. Czekał na jesienną pogodę, bo wtedy ożywał, wędrując w dzień z psem po plaży. Ale była dopiero jesień, czas sztormów i umierania.

★

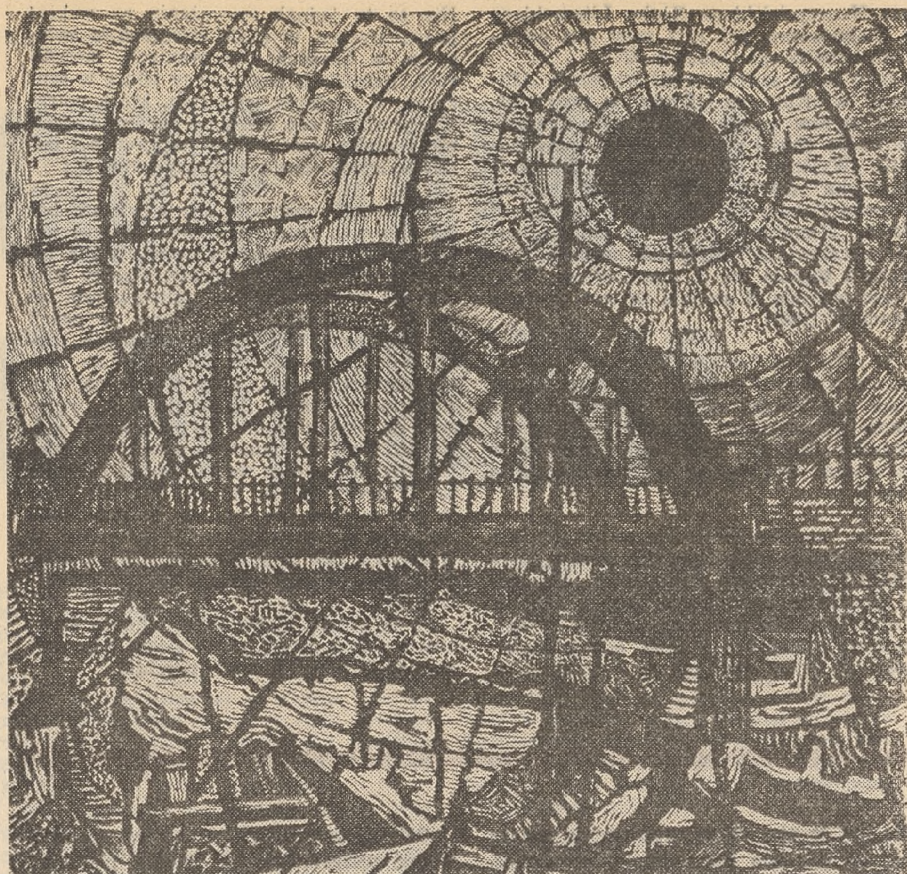
Niecierpliwie czekałem na powrót Konstantyna w barze. Barman zaś długo nie wracał, bardzo długo. Za ladą stanęła jego żona. Podając coś podchodzącym do koniuartu, co chwila mężczyznom, mówiła do mnie z niepokojem:

— Oni przyjechali tu wszyscy razem. mój Jano, fotograf i pies. Teraz Dingo zdechł, ale psy żyją przecież krócej? Tylko dlaczego był na ulicy sam, co się tam stało?

Nie doczekałem się Konstantyna, wyszedłem z baru. Na ulicy nie było już nikogo i tylko zmoknięty budynek hotelu górował nad miastem. Wiatr pędzący na oślep ulicą przypominał, że morze piekło się i cisła wodą od nieba aż po dno, a łódki, choć zacumowane bezpiecznie, stękały ze strachu. I chyba ta pogoda sprawiła, że tylko obaj z Konstantynem staliśmy na cmentarzu nad trumną fotografa. Rzucaliśmy garście piachu przy pochmurowym i złym niebie, ale potem zza chmur wyszło słońce. Wdróżyliśmy więc szybko, bo było wyjście w morze i znów robota gonila robotę.

Jutro będzie tu kolejny sezon.

EUGENIUSZ KOŹMIŃSKI



Roman Mucha — „Kompozycja” — linoryt.

KRZYSZTOF KASPRZAK
debiut

PRZEZNACZENIE

Krzysztof Kasprzak pracuje w Szkole Podstawowej w Sanatorium Rehabilitacyjnym „Dzieciakowo” w Józefowie k. Warszawy.

straciłem sen
odzyskałem strach
w knajpie za rogiem
od tygodnia
rozum upija się
w towarzystwie
nadziei
człowiek nie wybiera

IRENA ŁUKSZO
debiut

DZIŚ

Irena Łukszo jest nauczycielką nauczania początkowego w Szkole Podstawowej nr 140 w Warszawie.

czas spędzony z tobą
utrwalił się
w zasuszonym płatku milczenia
wyciszona czekam
na krzyk



Bolesław Jóźwicki — „Jak bukiet kwiatów” — olej.

Niedawno obchodzono uroczystości na Podhalu 110-lecie urodzin Jana Joachima Czecha — wybitnego starosądeckanina, zasłużonego dla kultury polskiej kompozytora, pisarza, pedagoga, wychowawcy wielu pokoleń młodzieży i nauczycieli. Spośród bogatej spuścizny twórczej Jana Czecha opublikowano tylko niewielką część. Poniżej drukujemy kilka wierszy tego oryginalnego poety-nauczyciela, zaczerpniętych z tomiku „Listy do Tatr”, wydanego na prawach rękopisu.



Jan Joachim Czech

JAN CZECH

HEJ, WY MOJE GÓRY

Hej, wy moje góry,
hej, góry kochane!
Hej, tęskno mi za wami,
kiej w nizinach stanę!

Góry wy i lasy,
wy kręte ścieżyny!
Hej! Tam przepiękne życie!
Świat cały! Jedyny!

Kto się w górach rodził,
był w nich choć chwil trochę,
Ten wciął za nimi tęskni,
ten je zawsze kocha!

Bo coś mają w sobie
te Tatry, Karpaty,
Ze dałbyś wszystko za nie,
wszystkie inne światy!

Nowy Sącz — 15 grudnia 1929

ŚWIĘTO BACY

Hej! Odszpiewały się polany,
Hej! Las jim comy odszpiewuje;
Hej! Echem dźwięczą skalne ściany,
Hej! Wiały śpiewkom prziduchuje.
Hej! Dzwoni śpiewka od sąsada,
Hej! Kieby grały ci organy;
Hej! Leć, leć śpiewka nasa
Hej! W cały polski kraj kochany!
Hej! Cóż to, chłopcy, za śpiewanie?
Hej! Cóż ta śpiewka dzisiaj znaczy?
Hej! Głos się niesie po polanie,
Hej! Bo dziś wlećgie święto bacy!

Stary Sącz — 6 marca 1933

ROZMOWA KRYWANIA Z GIEWONTEM

Tyś Giewont, ja — Krywań. Patrzymy se na się,
Hej, ale ino wtedy, kiej słonko na casie.
Patrzymy se na się, ale barz niewiele,
Hej, bo sie nom po głowak cęsto mgielka ściele...
Cęsto tyś w słoneczku, a ja zachmurzony,
Hej, tobie hań wesoło, a ja zasmucony.
Kiegdziej na ciebie chmura na dół posła,
Hej, a moja cupryna do słońca wyrosła.
Cegoś taki mały, ja w górę wysoki?
Hej, czegoz patrzys na ziem, kiej ja na obłoki?
Ej, ty mój Giewontku, choć stois z daleka,
Uśmiechnij się do mnie, jak człowiek do cieleka...

Stary Sącz — 24 sierpnia 1938

IDOM NOCE JASNE...

Hej, idom ci idom, idom noce jasne...
Nie bedem się smucić! Smutkiem o ziem prasnę!
Wyjdę przed kolibę na środek polany.
Popatrzę se hajnok na Czerwone ściany
I takim spod serca zaśpiwom se głosem:
Nie ja od was nie keem, o nie was nie prosem,
To mi ino jedno zaprzysiąc musicie,
Ze mie haw po śmierci k'sobie przitulicie.

Stary Sącz — 28 sierpnia 1938

POETA LUDZKICH SUMIEN

W Międzyrzeczu Podlaskim mieszka Ryszard Kornacki — społeczny działacz kultury, nauczyciel, poeta, laureat czternastu ogólnopolskich konkursów poetyckich: Małych Form Literackich (1961), Łódzkiej Wiosny Poetów (1961), poezji marynistycznej (1971), Polskiego Radia i Telewizji (1973, 1977), Złotej Lampki Górniczej (1984, 1985, 1986), Czerwonej Róży (1987) i innych.

Ryszard Kornacki urodził się w 1940 roku w Lublinie, tu ukończył szkołę podstawową i średnią, potem Studium Nauczycielskie i zaocznie — filologię polską w UMCS. Po rocznej pracy nauczycielskiej w Lublinie przeniósł się do Międzyrzecza

Podlaskiego, gdzie pracował jako kierownik szkoły podstawowej, metodyk języka polskiego, wizytator Kuratorium Oświaty i Wychowania w Białej Podlaskiej, prezes ZNP, kierownik Miejskiego Ośrodka Kultury. Obecnie jest nauczycielem w liceum ogólnokształcącym.

Przez wiele lat był korespondentem terenowym „Sztandaru Ludu” i krótko dziennikarzem „Trybuny Zakładowej” w Białej Podlaskiej. Początkowo związał się z Korespondencyjnym Klubem Młodych Pisarzy, potem z Nauczycielskim Klubem Literackim im. Józefa Czechowicza w Lublinie, gdzie jest czynnym członkiem. W roku 1985 przyjął społeczną funkcję pre-

zesa Nauczycielskiego Klubu Literackiego w Białymstoku. Od 1977 roku jest członkiem Lubelskiego Oddziału ZNP.

Jako poeta zadebiutował wierszem „Moment” w „Kulturze i Życiu” w roku 1959. Jego wiersze weszły do jedenastu almanachów. Do chwili obecnej wydał tomy poezji: „Wyjście z ciszy” (1973), „Szukanie człowieka” (1975), „Złote słońce” (1980), „Puszka Pandory” (1985), „Sny zagubione” (1987), „Miniatury” (1988). Za tomik „Szukanie człowieka” otrzymał nagrodę literacką I stopnia im. J. Czechowicza (1976) i tęże nagrodę II stopnia za tom „Puszka Pandory” (1987).

W roku 1986 Teatr na Targówku w Warszawie wystawił spektakl poetycki „Wszystkie wątpliwości świata” oparty na tekstach Kornackiego. Podobny montaż pt. „Puszka Pandory, czyli cicha zabawa w człowieka” wystawiony też został jesienią 1988 r.

Czym charakteryzuje się twórczość tego poety? Przede wszystkim dojrzałością warsztatu literackiego i głębią myśli. Kornacki penetruje psychikę ludzką, z całą ostrożnością odsłania zachłanność, zawziętość, egoizm, znieczulicę i brak odpowiedzialności za czyny podejmowane przez ludzi.

Nie są to jednak rozważania na wskroś pesymistyczne. W wielu utworach, a zwłaszcza w licznych skojarzeniach, metaforach, paralelach znajdujemy wiarę w sens życia, w wielkość jednostek, które potrafią przełamywać ciemne bariery i zgodzić się z etyką społecznego naprawiać i budować lepszy, sprawiedliwszy świat.

Kornacki konstruuje swoje wiersze bez krzykliwych eksperymentów. „Wiersz jest formą dyskusji, musi być otwarty dla ludzi” — stwierdza bez żenady. Tworzy więc nie dla koneserów i specjalistów (oni też mogą znaleźć wiele dla siebie w poezji Kornackiego), lecz dla przeciętnych czytelników; chce zwrócić ich uwagę na istotę człowieczeństwa, chce wstrząsnąć ich sumieniem. Wierzy, iż poezja może wpływać na kształtowanie się osobowości jednostek. Stąd też tematyka utworów nakierowana jest przede wszystkim na człowieka. W poezji autora „Puszki Pandory” mało jest miejsca dla czystego pejzażu. Jeśli znajdujemy strofy malujące naturę, to występują one w ścisłym związku z człowiekiem i z jego stosunkiem do rzeczywistości.

Po tę prostą, malowniczą, techną świeżością słowa poezję warto sięgać, aby zrozumieć złożoność ludzkiej psychiki.

MICHAŁ S. DALECKI

MAŁE BYWA PIĘKNE

(o wierszach Jadwigi Jałowic i Anny Wojciekian)

Dnia oko pięknego, czerep rubaszny, ogary poszły w las, bez taryfy ulgowej, małe jest piękne. Oczywiście, najpiękniej zdobią język poeci.

Jadwiga Jałowic ma w tym również małą zasługę, gdy mówi: „...mkną jaśkółki w srebrzystych bucikach”, „oblaśkawiłam żmije dróg”, „czeszę światom włosy”... A mówi tak o zupełnie realnych sprawach, wręcz przyziemnych i absolutnie osobistych o rozterkach, o cierpieniu, o codziennym trudzie, o przemijaniu — również o radości i miłości.

Za sprawą zbioru „W środku świata” wydanego przez Nauczycielski Klub Literacki we Wrocławiu (1988) poznać możemy jakby nową Jadwigę Jałowic, jakby inną od tej z wdzięcznych wierszyków dla dzieci, m. in. „Nasze drzewa” (1985). Ton tego niewielkiego zbioru jest nad wyraz

poważny, może nawet złowroźny. Motyw odchodzenia, przemijania, śmierci dominuje i w konsekwencji przytłacza. To jest owa główna różnica. Radosna przyroda w wierszykach dla dzieci nastawia afirmacyjnie wobec życia, w wierszach dla dorosłych zaś stanowi tło refleksji o rzeczach ostatecznych. Może dlatego tak się w tym tomiku odróżnia wiersz-dialog matki z synem, szczególnie pierwsza jego połowa. W tym właśnie tekście widzę źródło nowego tonu. Z dużym uproszczeniem można rzecz sprowadzić do odwiecznego dylematu: naiwna dziecięcość w „skowronkach” czy dorosłość z „ciężarem świata”. Poetka rozstrzyga to w ostatnim pytaniu syna, a właściwie w ostatniej odpowiedzi matki:

— Mamo, mamo, czy płakałam?
Wtedy to już byłam człowiekiem.

Nie jest to oczywiście rewolucyjne odkrycie, ale pozwala przynajmniej zrozumieć, czemu Jadwiga Jałowic w swej twórczości dla dzieci kreuje świat-ogród, świat-baśń, świat radosny i bezpieczny. W takim świecie dziecko czuje się dobrze, choć może tylko dlatego, że jest dzieckiem.

A co ma autorka do oferowania swoim rówieśnikom?

„We mnie kwiatów zakwitanie
czasem — beczka śmiechu
(...) radości pod powalę
(...) ale i we mnie bazyliuszka oko”.

A na koniec wyznanie: „Jeden we mnie niepokój”. I to jest tyle, co myślicy poeta tak na serio może ofiarować. Niewiele? Być może, lecz starczy, by po raz drugi sięgnąć po tomik „W środku świata”.

Równie niewielki jest zbiorek, tym razem z Łodzi, wydany (w 1988 roku) przez Klub Literacki Nauczycieli, działający już ponad dwadzieścia lat przy Łódzkim Klubie Nauczycieli. — „Wszystek świat widzę...” Anny Wojciekian. Po „Godnym przeżywaniu” jest to druga większa prezentacja poezji tej autorki.

Osią proponowanej lektury jest sprzeciw wobec wszystkiego, co przeczy pięknu i dobru, co burzy harmonię świata. Wiara poetki, że sztuka, jako wyraz piękna i harmonii, może być skutecznym pancerzem na ciosy świata, może nieco dziwić, nie może jednak pozostawić w obojętności. „Bez poezji tylko trwanie” — mówi wprost A. Wojciekian. To naprawdę wzruszające, że można jeszcze wyrażać takie przekonanie. Na tym jednak autorka buduje swoje mosty do świata i ludzi. Proponuje nawet „Oddzielić piękno od powszedniości / odchuchać, otulić się w nie”.

Czy nie jest to zbyt łatwe powołanie się na historyczne już poglądy? Skoro jednak ta postawa pozwala autorce doznać poczucia mniejszego bezsensu, zobaczyć „wszystek świat” jaśniejszym, może jest w tym coś na rzeczy, a może właśnie teraz jest pora, aby te dawne racje przypomnieć. Przypomnieć w imię wciąż aktualnej racji, którą tak oto wyklada A. Wojciekian:

„Zachłannie kocham życie
i dziwię się jego kruchości”.

Również tomik A. Wojciekian przywołuje na świadectwo, że małe bywa piękne.

EMIL BIELA

SNY I REMANENTY

Do wcale okazałego dorobku literackiego Leszka Bakulę, poeta i prozaik, nauczyciel z Ustki, dołączył ostatnio nową książkę pt. „Wyśniło się?”. Odnosi się wrażenie, że autor uporządkował swoją szufladę w biurku, dokonał remanentu, bo na wspomniany tom składają się utwory drobne, parę dziesiątek opowiadań, jest też kilka tekstów dokumentalnych. I jak to w takich wypadkach bywa, rzeczy dobre sasiadują z tekstami tylko poprawnymi, a te z kolei z zupełnie słabymi.

Remanenty pisarskie Bakulę dowodzą,

że potrafi on pisać właściwie na każdy temat. Wychodzi z kąta profesja nauczycielska? Były kiedyś czasy w polskiej oświacie, że nauczyciel musiał uczyć każdego przedmiotu! Dopiero od niedawna są „specjalizacje” i nawet specjalizacyjne stopnie. A pisarz też powinien mieć jakąś specjalizację, wyróżnik, po którym można byłoby go bezbłędnie rozpoznać w tłumie piszących i szermujących słowem.

Tom „Wyśniło się?” zaczyna się tekstami bardzo ambitnymi, zwartymi, ciekawymi treściowo i artystycznie. Dość wspomnieć

„Miasto nad miastami”, w którym autor, jak prawdziwy mentor, przypomina zaraz na wstępie, że życie jest przechodzeniem od piękna do brzydoty albo odwrotnie. Bakula jest programowo antyurbanizacyjny, przerażają go „betonowe róże” i stąd pewnie ten naprawdę piękny akapit:

„Miasto stojące sobie jak ludzki sakrament. Miasto takie wysokie, jak ja jestem niski. Wysłane kopułami nieba. Pobudowali, poszli gdzieś, zapodziali się w sobie. Budowniczości idealni. Szczęście w tym, że nie przyszli tu ludzie, bo zaraz by to miasto zaśmiecił, zanieczyszczył, obróciłby je wniwecz i żadne piękno by wtedy nic nie pomogło”.

Od senno-realistycznej groteski do prozy reporterskiej wiodą Bakulowe utwory. Szczególnie mocny jest pisarz w tematyce wiejskiej, czego najlepszym dowodem jest istny majstersztyk pt. „Pasterka”. Dorównuje mu także „Mięś” z racji swej autentycznej vitalności. Autor ma doskonale wyczuć języka, wierny, magnetofonowy omal słuch. I ta właściwość bogato owocuje w jego tekstach. Tutaj czytelnik

może tylko zżymać się, że czasem Bakula jakby zatracił poczucie czasu i darzy nas utworami z bardzo starymi rekwizytami. Razi już przecież alkiery i lampa naftowa, a te właśnie znaleźć można jeszcze na kartach „Wyśniło się” — i na nic zda się tłumaczenie, że to porządkowanie piarskiej szuflady... I jakże tu wierzyć wyznaniu autora, że „błąka się po moim mózgu szalona myśl, że trzeba raz na zawsze skończyć ze sztuką, bo wokół niej rodzi się tylko egoizm, oszustwo i demoralizacja”.

Jest Bakula ostry w sądach, zapalczywy. Nie szczędi satyrycznych szturchańców. Dostaje się przede wszystkim księżom i nauczycielom. Bakula ubolewa, iż czasem dzieje się tak, że dla „dobrej szkoły” łamie się niewinną w gruncie rzeczy jednostkę (kobietę!). Zwycięża ludzka głupota i złośliwość. Teksty Bakulę, chociaż trochę starofekie, są ciągle aktualnym protestem przeciw zniewalaniu jednostki ludzkiej.

*) Leszek Bakula: „Wyśniło się?” — LSW, Warszawa 1988 str. 264, cena 380 zł.

ANNA ZABACKA

RYTUALNE MEDYTACJE

W ostatnim kwartale 1988 r. pod patronatem Klubu ZNP w Bielsku-Białej ukazał się tomik poetycki Heleny Kudłackiej — „Rytualne medytacje”. Jest to trzecia z kolei pozycja wydawnicza autorki, która ma znaczne osiągnięcia również w malarstwie i rękodziele artystycznym. W 1982 r. wydała pierwszy tomik poetycki

„Pasjans ze słońcem”, a w 1985 r. powieść „Poza otwartym oknem”.

W „Rytualnych medytacjach” przebiega dążenie do uporządkowania świata, wyjścia z chaosu różnych doznań. Autorka zna piękno przestrzeni życiowej, którą trzeba umieć sobie przyznać i świadoma jest faktu, że to jej się udało. — „Zbudowałam siebie / w pokonywaniu trwam” — pisze w wierszu otwierającym tomik; w innym czytamy: „Chcę z Prometeuszem / zapalać wszystkie ognie duszy”...

To poezja delikatna, impresyjna. Przepłatają się w niej barwy ziemi beskidz-

kiej. Poetka wierzy tej ziemi, jest z nią związana sercem i sumieniem, pragnie przybliżyć jej „czyste polskie słońce”. Do tej tematyki wraca w innych wierszach, widząc ostro spustoszenie, które niesie cywilizacja. „W żłobach atomowych umieramy” — czytamy w wierszu „Beskidzkie panny”.

Liryki eksponują chłodne wyważone treści psychiczne i filozoficzne. To poezja myśli wrażliwej i głębokiej równowagi życiowej „Kroimy reformę / by / zmierzchnas nie zgarnął” — pisze autorka. Część jej wierszy mówi o samotności: „Czasem człowiek człowieka nie dojrzy nie / dosłysz”, ale sam jest w stanie budować „królestwo sumienia i prawd”, spowinowacony z drugim człowiekiem tylko w myślach. Poetka pogodzona z życiem przemawia głosem ścisłym, chwilami szepem, nie pozabawionym ważkich treści.

Są też w tym tomiku wiersze o pięknie natury („Białe pejzaże”, „Koncert na srebrzystych kołach”). Jednak większość tekstów to głębokie autorefleksje bez patosu i gwałtownych tonów. Podmiot liryczny jest przeświadczony, że podróż właściwa, to podróż do własnego wnętrza...

Literacki Głos Nauczycielski; redaktor: Henryka Witalewska — kierownik, działu kultury i wychowania. Społeczna Rada Programowa Klubów Literackich Nauczycieli: Maria Aulich, Antoni Cybulski, Marian Janusz Kawałko, Tadeusz Kubas, Stanisław Nyczaj, Tadeusz Sznerch.